

ANDRZEJ NIEMOJEWSKI

ROKITA

KRAKÓW * MCMI.

Kochanemu Koledze
Gabrjelowi Korbutowi
tę ostatnią rzecz ofiaruję
z prośbą o bezmierną
pobłażliwość

Autor

Warszawa 14.IX.190

ROKITA.

ANDRZEJ NIEMOJEWSKI

ROKITA

POEMAT DRAMATYCZNY
W SZEŚCIU AKTACH

> Ten latawiec tuła się po świecie
> i chciałby mieć towarzystwo z ludźmi;
> ale mu tego Bóg nie dał, aby wziął
> ciało prawdziwe, tylko obłudne bie-
> rze, w którem nie może nic począć.
>
> (Postąpek Prawa Czartowskiego przeciw
> Narodowi Ludzkiemu, 1570.)

KRAKÓW
DRUKARNIA NARODOWA
1901.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 5 Февраля 1901 г.

AKT PIERWSZY

ALBO: PROLOG.

OSOBY AKTU PIERWSZEGO:

ROKITA, syn czarowej i Złego, wzlatacz.
NIJA, czarowa.
ZŁY.
KRĘTACZ.
KUSY.
OBERWUS.
DJABLIKI.
CIENIE BŁĘDNE.
CIEŃ POKUTNY.
WIDMA CHŁOPÓW.
WIDMA DWÓCH DEWOTEK.
WIDMO SZLACHCICA.
DUCHY DWOCH SIEROT.
BABA.
OWCZARZ.
WIEŚNIACZKA.
TŁUM WIEJSKI.

Rzecz dzieje się w piekle i na ziemi.

Piekło. — Urwiska pełne rozpadlin i krętych ścieżek, rozjaśnione nieco sinem, mistycznem światłem, kędy suną Cienie Błędne, przystają w pochodzie pokutnym, wznoszą czoła i wydają ciche, głuche jęki. W dole po lewej pieczara, z której bije krwawa łuna; rozlega się tam dudnienie, to znowu gwar, przerywany gromadnym chichotem. Przed pieczarą leży *Zły*, kudłate djablisko, przykute do skały łańcuchem; liże łapę i wyje.

ZŁY.

Żeby cię, żeby cię piorun trzasł,
    Hau, hau, hau! —
Bodajeś w wrzącej smole po pas
    Gotował się...
    Hau, hau, hau! —
Hau, hau, hau! Piekło wre,
Łańcuch żre...
    Hau, hau, hau! —
Żeby cię, żeby cię opleść w głóg!
Żeby cię na dno strącił — —
                    Tfu...
Hau, hau, hau!
Hau, hau, hau!

Na urwiskach ukazuje się Kusy, ciągnący za ramię mglistą postać, która, szarpana w dół, opiera mu się rozpaczliwie. Jest to Cień Pokutny.

KUSY.

A, nuże! Ruszaj! Ciężko?... He, he, he... A dalej!
Drżysz, robaczku? Pragnienie wyschłe gardło pali?
Myślisz, ropucho, że to tak jak tam na ziemi
Rozkosz uściele drogę puchami miękkiemi?
Krótkie latko to życie, każdego omami —
A nuże, bo za gardło chwycę pazurami!

CIEŃ POKUTNY.

Litości!... Miłosierdzia!...

KUSY.

Niby myszka mała
Piszczy w pazurach kota, wylękła, spotniała,
Patrzy jak czmychnąć, ślepki obraca śród mroku...
Chcesz uskoczyć? I cóż ci po daremnym skoku!

CIEŃ POKUTNY.

Daj chwilę spocząć, taką, w jakiej łza na oczy
Wypłynie i po twarzy ku piersiom się stoczy!
Nie, nie mogę iść dalej! Nie mogę, nie mogę!
Popatrz jeno, cierń przebił na wylot mi nogę,
O, popatrz, tam na ścieżce krew... Ukróć niedoli!
Chwytam cierń — a on rękę parzy...

KUSY.

Boli? Boli?

CIEŃ POKUTNY.

Ah — ah — ah, jak żelazo rozpalone parzy!
Płaczę a łza mnie pali spływając po twarzy...
To ogień! Ogniem płaczę! Gdzie mnie dotkniesz ręką,
Pali jak od pokrzywy... Stój chwilkę maleńką!

KUSY.

Nie marudź, bo powlokę za włosy, gadzino!

CIEŃ POKUTNY.

Popatrz na łzy jak paląc po policzkach płyną,
Popatrz na cierń ów tkwiący w obolałej nodze...
Och, znikomą chwileczkę przystańmy na drodze!
Przecież nie mogę zdążyć za tobą, gdy w ranie
Cierń świdruje...
Posłuchaj: czyś ty miał, szatanie,
Brata, siostrę, lub dziecię? Czyś ty kochał kogo?
Jeżeliś zatem — czemu śmiejesz się złowrogo?

KUSY.

Syczysz, padalcze? Czekaj, wyrwę ja ci z garła
To żądło! Ruszaj! Przepaść już się tam rozwarła
I w pomroczne objęcia obejmie nas kołem!

CIEŃ POKUTNY.

Nie, nie pójdę! Bij, duś, szarp! W głaz uderzę czołem,
Wolę zginąć a dalej nie postąpię kroku!

KUSY.

Zginąć?! O, już zapóźno! Nie, tu w państwie mroku
Już się nie ginie! Tam się ginęło, pod słońcem,
Tam śmierć wszystkich utrapień i udręczeń końcem!
Tu wieczność rozpościera cieniste ramiona,
Tutaj nikt się nie rodzi, tutaj nikt nie kona!
Tu mętną mgłą zalane dziedzictwo cierpienia
Bez przerwy, bez otuchy, ulgi, ukojenia!
Tu samotność tak straszna i tak lękiem ścina,
Że mniej dotkliwie kąsa duszę ból-gadzina,

Mniej szarpią kłem pierś grzeszną wyrzuty sumienia,
Niż ta pustka, ta pustka śród łona istnienia! —
Nuże, duchu oporny, bo odstąpię ciebie
I na sto lat w tej pustce pomrocznej zagrzebię,
Będziesz wlec się samotnie ponad otchłaniami
Z wywróconemi z lęku i bólu oczami!

CIEŃ POKUTNY czepiając się go.

Nie, nie, nie, nie, nie odchodź! Ja się boję, boję!
Nie opuszczaj! Drżę, widzisz? Nie zwiększaj męczeństwa!
Powlokę się z tym kolcem... Ah, patrz, staję — stoję —

KUSY wybuchając dzikim śmiechem.

Podły tworze, zlepiony z błota i przekleństwa!

Znikają za urwiskami. — Chwila ciszy. — W górze rozlega się dalekie wołanie Krętacza.

GŁOS KRĘTACZA.

Hop, hop, hop! Hej tam w dole odezwij się który!
Hop, hop, hooooop!

ZŁY.

Złóż, Krętalku, u mordy pazury
I wyj przez ciemność! Pewnie połów był obfity?
Hop, hop, hop, hop, Krętalku, ty nie w ciemię bity!

GŁOS KRĘTACZA.

Baczność! Świeży transporcik!

ZŁY *jak uradowany niedźwiedź obraca się w głąb pieczary.*

Huu! Djabły! Djabliki!
Świeży transporcik! Dalej z nory chamy, łyki!
Transporcik! Huu! Krętalek nie próżnował nocą!
Świeży transpooooooooorcik!

W pieczarze wielki gwar. Wybiega gromada najróżnorodniejszych djablików, latając jak robactwo i wrzeszcząc jeden przez drugiego.

DJABLIKI.

Co? Co? Co? Co? Co? Co? Co? Co?
Cha, cha, cha! Co? Transporcik? Transporcik? Kto woła?

ZŁY.

Cicho, drobiazgu!

CZĘŚĆ DJABLIKÓW.

Ciiicho...

ZŁY.

Zebrać się dokoła!

Djabliki kupią się dookoła niego. — W górze nad otchłaniami ukazuje się Krętacz, pędzący przed sobą Widma Chłopów, Dwóch Dewotek i Szlachcica.

KRĘTACZ.

Dalej, dalej, chłopki boże,
Czy kto może, czy nie może!
Gdy gorzałka ślepia zmroczy,
Bies opieką was otoczy!

Jazda, święte kobieciny!
Święte — ale któż bez winy?

Choć się kajasz pod figurą,
Swędzi djabeł po za skórą!

Raźno naprzód, panie bracie,
Karmazynów tu poznacie,
Antenatów zastęp duży,
Którym wciąż się ze łba kurzy!

Schodzą.

DJABLIKI między sobą.

Kogo on tam prowadzi? Kogo? Kogo? Kogo?

KRĘTACZ.

Kilku zapitych chłopów.

Djabliki chichoczą, podlatują i wołają: »Co? Co? Zapite chłopy? Zapili się? Zapili?«

Lezę sobie drogą,
Patrzę: leży to spite w rowie u przypłotka.
Tak tedy myślę sobie: komu matką wodka,
To pewnie ojcem djabeł!

Śmiech wśród Djablików. Krętacz do Widm Chłopów:

Nuże Maćki, Bartki,
Tu wam z kotłów siwuchy tryśnie strumień wartki!

Djabliki śród śmiechu i zalatywania przepędzają do pieczary Widma chłopów.

DJABLIK 1. do Widm Dewotek.

A to kto? Patrzcie: trusie, gołąbeczki, kotki,
Skromnisie...

DJABLIKI.

Kto to? Kto to?

KRĘTACZ.

Dwie stare dewotki.

DJABLIK 1.

Ciotuńcie! Ah!

DJABLIKI.

Ciotuńcie kochane!

KRĘTACZ.

Wio baby!

Wielkie gaudyum. Djabliki przepędzają je do pieczary.

DJABLIK 1.

A to kto zacz? Podobny do czerwonej żaby,
Patrzcie... Odęty!... Niby beczka tak się chyba —

DJABLIKI.

Kręta1ku, kto to? kto to? kto to?

KRĘTACZ.

Grubsza ryba.
Szlachcic.

DJABLIK 1.

Szlachcic? A nuże, obedrzeć mu poły!
Szlachcic? Taki pijany? Tak? Taki wesoły?

DJABLIKI.

Cha, cha, cha, cha, szlachcica, szlachcica pojmali!
Łap, drzyj, kop, gryź! Jak beczkę będziem go kulgali!

WIDMO SZLACHCICA jękliwie.

Mary... mnie... dręczą...

DJABLIKI.

A co? Dobrze ci?... Brat Łata:
Wiwat!... Niechaj Brat Łata z nami się pobrata!

Przepędzają go do pieczary z wyciem i piskiem. Krętacz znika w głębi. Gdy pisk Djablików nie milknie, Zły woła chrapliwie:

ZŁY.

Ciszej tam!

DJABLIKI nadlatując ku niemu.

Cooo???

ZŁY.

U góry znów słychać wołanie.

DJABLIKI między sobą.

Ciiicho... szaaa... Na pazurkach przykucnąć przy ścianie...

Nastaje cisza. — W górze na ścieżce ukazuje się Oberwus, prowadzący przed sobą Duchy Dwóch Sierot, które bieleją zdala na urwisku.

OBERWUS.

Dalej, dalej, sierotki!
Nie rosną tu chabry, stokrotki,
Nie świeci promyk miesiączka
I sięga przez ciemność rączka!
Oj, nienajlepsza ścieżyna,
Czasem się wytknie nóżyna,

Lub dłoń skaleczy o skałę,
Lecz dalej, sierotki małe!
Tu, tędy, przez strome spady —
Oj, tak, tak, niema rady, niema rady!

DJABLIKI zaniepokojone.

Kto to? Kogo Oberwus prowadzi? Dwa cienie!

ZŁY.

Jakby blask jakiś mroczne rozjaśniał przestrzenie!

OBERWUS niżej.

Tak, sieroteńki maluchne
A ciche a ubożuchne,
Na wszystkich koniec przychodzi!
A jak to cicho zawodzi,
Jakie potulne, przytulne,
Niby baranki bieluchne!
Zabrała Bozia matuchnę?
Macochę dał? Phy, macocha
To zawsze inaksza trocha!

Schodzą w dół.

DJABLIKI zafrasowane.

Sieroty? To sieroty? Co to są sieroty?

ZŁY do Oberwusa.

Co czynisz, ciemny djable?

Dźwiga się.

DJABLIK 1.

On pierwszy do psoty!

ZŁY.

Nie drżysz, że na najsroższą wystawiasz się mękę?

OBERWUS.

Fiu, ja tam zawsze biorę, co padnie pod rękę!

ZŁY groźno.

Gadaj no, jak to było?

OBERWUS.

Jak? Wpadły do wody
I tyle.

ZŁY.

Łżesz!

OBERWUS.

Macocha z izby je wygnała,
Ojciec w karczmie.

ZŁY.

Łżesz!

OBERWUS.

Łżesz... Fi! Każdy łże bez mała!

ZŁY.

I nikt ich nie ratował?

OBERWUS.

Poco miał ratować?
Noc, ciemno, jużem zaczął trochę się litować,

Płacze to, więc je zwolna nad rzekę skusiłem
I lekko, bardzo lekko, tak: psztyk — potrąciłem...

ZŁY.

Pchnąłeś??

OBERWUS.

Właściwie same wpadły.

ZŁY.

Komu kłamiesz?
Ażali wiesz, nieszczęsny, czyje prawa łamiesz,
Kto krzywd sierot dochodzi, kto ich łez docieka,
Kto wiecznie nad ich dolą czuwa, choć zdaleka?
Żali cię nie ogarnia lęk, strach, dygotanie,
Że się natychmiast w górze coś strasznego stanie,
Że ponad urwiskami grom rozedrze chmury
I że się głos potężny rozlegnie u góry??

OBERWUS.

Kto się to za tem ujmie? Toć to takie liche,
Takie potulne, biedne, niczem jagnię ciche!
Pi, gdyby Pan Bóg każdej chciał dochodzić szkody —

DJABLIKI między sobą.

To one... A Oberwus popchnął je do wody...
Patrzcie, tak wyglądają sieroty!

DJABLIK 1. wysuwając się.

Djabliki,
Na odważnego!

DJABLIK 2 wysuwając się również.

Co? Nie ugryzie?

DJABLIK 3 odsuwając tamtych.

No prosim,
Raczą bliżej tu do nas panny dobrodziki!
A co panienki milczą tak, a? Chyba wnosim,
Że panienki nieśmiałe... Proszę się ośmielić,
Bo nam strach, a tak razem można się weselić!
Pewnie panienki mają głosiki, co? Pewno!
Przyjemne, ha? To prosim zaśpiewać a rzewno...
Co słychać tam na ziemi, a? Czas ciepły? miły?

DJABLIK 1.

Sza... pss... cicho... sza... Będą mówiły, mówiły!

SIEROTA 1 echowym głosem.

Woda ciemna, cicha,
Dola licha, licha...
Wypędzasz, macocho, z zagrody?
Ach, sama skoczę do wody...
Cyt, cyt... plusk... Usłyszy Bóg,
Wybawi najnędzniejszą z swych sług!

DJABLIKI rozlatując się z przerażeniem.

Ah — ah — ah — strach mrowi!
Co ona mówi! Co ona mówi! Co ona mówi!

ZŁY.

Skała drży, ciemność pęka, skrzy się nocy szlak!

OBERWUS doskakując do sierot,

Łap za włosy, pociągaj na wznak!

Ale Sierota podnosi rękę a on zatacza się w tył.

SIEROTA 1.

Woda dobra matula,
Ona sieroty utula...
Pójdźmy, siostruniu, na rzeki brzeg,
Śmierć na wszystko najlepszy lek!
Wygnała macocha nocą za próg?
Przygarnie Bóg, przygarnie Bóg!

DJABLIKI w popłochu.

Aaah! Wygnać! Wypchnąć!

ZŁY.

Głupstwo palnąłeś!

OBERWUS.

Bezwiedne!

SIEROTA 1 postępując ku Djablikom.

Czemu nas odtrącacie? Patrzcie! my tak biedne!

DJABLIKI.

W nogi! W nogi!

ZŁY.

Tchórzliwe robactwo strach dusi!

Djabliki pierzchają w głąb pieczary. Oberwus za niemi. Zły, patrząc na to, wybucha śmiechem.

SIEROTA 1.

Siostruniu, chyba piekło gdzieś blisko być musi,
Bo djabeł się roześmiał...

SIEROTA 2.

Pierzchajmy, pierzchajmy...

SIEROTA 1.

Pierzchajmy...

Wyciągają ręce przed siebie i sunąc kołem jak lunatyczki wybiegają. Śmiech Złego zamienia się w żałosne skomlenie. — Po chwili z głębi występuje Rokita, młody wzlatacz o bladej, melancholijnej twarzy i smutnych oczach. Staje, jak gdyby wdychał woń kwiatów, rozgląda się i mówi:

ROKITA.

Kto tu był? Woń fiołków czuć w państwie ciemności!
Żali anioł świetlisty między nami gości
I z kwiatów swego serca tę cudną woń sieje?
Woń niewinności, mgliste obudza nadzieje
O jakichś lepszych światach, gdzie promyk pociechy
Padając na twarz słodkie maluje uśmiechy,
Gdzie radość złotym blaskiem lica opromienia...
Słyszałem tam głęboko tajemne westchnienia,
Z najmroczniejszej otchłani sunę za tą wonią,
Za temi westchnieniami... Mrok rozgarniam dłonią...
Szukam... Woń tę pamiętam. Gdziem poznał? Nie pomnę...
Lecz to wiem, że tam słońce płonęło ogromne
I że dotąd tęsknota za niem łono pali...
Idźmy, szukajmy, z mroku w pomrok, dalej, dalej!
Gdzieś muszą się rozstąpić gór ciemne wierzchołki...
Woń czuć, woń! To fiołki, urocze fiołki!

ZŁY.

Ty nie marz o fiołkach śród nocy wieczystej!
Tu gór ogromy wichrów owiały poświsty,
Tu gad sycząc w kłąb zwity łeb chyli przez cienie
I lepką piersią mokre owija kamienie,
Tu grzyb powleka ściany, tylko chłód żałosny
Ściska pierś... Nie dla ciebie słoneczny żar wiosny!

ROKITA.

Wiosny?... Czekaj, ach, niegdyś słyszałem to słowo!
Co to jest wiosna?... Żali nie była królową?
Lecz gdzie jej państwo?... Czekaj... jako małe dziecię
Miałem sen... Śniłem słońce i maluchne kwiecie,
Mniejsze od słońca, ale promienie swej woni
Rozsyłało jak słońce wszędzie... Tu na dłoni
Dzierżyłem kwiatek... Nagle wszystko pociemniało,
Sto wichrów zaszumiało, sto gromów zagrzmiało
I sklepienie pierś tłoczy ciemności mogiłą...
Kiedy to było?? Czekaj — czy to kiedy było??

ZŁY.

Rokita!

ROKITA.

Co? Pokażesz mi wiosnę?

ZŁY.

Rokita!
Serce twe ciągle szuka, myśl twoja wciąż pyta,
Ty nigdy nie przystaniesz do nas, synów mroku.

ROKITA.

Długo trzeba iść do niej? Mam jej obraz w oku,
Tylko powiedz: którędy?

ZŁY.

Pójdź no tu, synusiu,
Popatrz tam... trochę wyżej... na prawo, chłopusiu...
Słabiuchny punkcik błyszczy... Widzisz?

ROKITA.

Plamka złota --
Ledwo błyszczy — niekiedy żywiej zamigota —

ZŁY.

Widzisz? — Patrz — to jest ziemia!

ROKITA.

Ziemia??

ZŁY.

Tak — to ziemia...
Teraz sunący obłok nieco ją zaciemia...
Nie — rozjaśnia się...

ROKITA.

Czy to — tam — bardzo daleko?

ZŁY.

Jak oko mgły leciutkiej zasnute powieką
Widnieje ziemia — na niej fiołki i róże
I czeremchy i słońce gorejące w górze...

ROKITA.

Jak sen, jak sen uroczy!

ZŁY.

Ażali wiesz, dziecię,
Skąd ty jesteś?... Ty — stamtąd!

ROKITA.

Ja — stamtąd? Ja byłem
Śród fiołków, czeremchy, tam, w słonecznym świecie
I nie jestem? I w mroki tutejsze zbłądziłem??

ZŁY.

Ty — tam — byłeś!

Rokita kryje twarz w rękach.

Lecz to już przepadło, przepadło!
Pozostało gdzieś na dnie pamięci widziadło,
Z każdą chwilą cień nowy wspomnienie to grzebie,
Maj, wiosna — nie, nie, nie, nie, to już nie dla ciebie!
Nawet tobie niewolno wiedzieć, że tam byłeś!
Zapomnij, żeś to stracił, że za tem tęskniłeś...
Nie, nie, nie! Próżna żałość, czcze są to wyrazy,
Pochyl głowę na siwe, mchem obrosłe głazy
I śpij...

Stara legenda nam szatanom baje,
Że każdy z nas miał kiedyś jakieś wiosny, maje,
Lecz to przeszło i tego niema, niema, niema...
Popatrz dokoła: niema, niema, niema...
Tak niema, że już nikt z nas legendzie nie wierzy,
Aby to kiedyś było!

ROKITA.

Czy śród tych rubieży
Przykuty łańcuchami do skały, ty może
Pamiętasz, przypominasz, że tam, tam, w przestworze...

ZŁY.

Nie pytaj... Poco pytać? Tego niema, niema!
Nigdy w przestwór ślepemi nie sięgam oczyma...
Odkąd mrok głowy osnuł, odkąd chłód w nas wieje,
Odkąd przyszło utracić ostatnią —

ROKITA.

Nadzieję??

ZŁY.

Ja nie znam tego słowa, to jest ludzkie słowo!
Gdyby tu kiedyś gromu ozwało się mową,
Rozpękłyby niebiosa i świateł potoki
Zalałyby bezdenne wieczności pomroki!
Nie, nie, nie...
Ale słuchaj... nachyl jeno lica...
Czy wiesz, kto ta czarowa, ona ciemnolica,
Która tu czasem schodzi pośród mgły zawoja?

ROKITA.

Ona — —

ZŁY.

Stamtąd!

ROKITA.

Ah, stamtąd??

ZŁY.

To jest — matka twoja!

ROKITA.

Matka?... Czekaj, przypomnę... W mej dobie dziecinnej
Był ktoś bliski... tak, bliski... bliższy niż kto inny...

ZŁY.

Bliższy, bliższy...

ROKITA.

Dlaczego ja tu — a tam ona??

ZŁY.

Oj, Rokita, Rokita!

ROKITA.

Żali jej ramiona
Nie sięgają przez dale? Ażali jej oko
W te przepaści nie pada na tyle głęboko,
By spojrzenie syn odczuł?!

ZŁY.

Rokita, Rokita!

ROKITA.

Ona tu schodzi — czemu jak syna nie wita?
Żali mnie porzuciła? Żali tu oddała?
Jakaż siła od łona matki mnie porwała?
A jeśli ona sama odbiega w kraj słońca
I syna chłodną ręką w wieczny pomrok strąca — —

ZŁY.

Dlaczego to tak ze mną, kto to tam nademną,
Ty, książątko, nie pytaj o wszystko... Daremno!

Kto podemną... Napróżno rozum snuje, roi...
A może — ktoś się kiedy kochał w matce twojej,
Może ona go w swoje oplotła ramiona,
Może począł robaczek snuć się u jej łona,
Zrodzony, iść za ojcem musiał... Kto ów ojciec?
Może jak ja, jak nie ja... Jakże prawdy dociec?!
Czemu nie?! Tyś podobny nawet do mnie trocha...
Nawet — czasem się djabłu zdaje, że cię kocha...

Ociera łapą ślepia.

ROKITA.

Kłamiesz!

ZŁY.

A ona tylko dobra twego chciała,
By zapewniony miała los dziecina mała.
Bo gdzie ludy mrą całe, gdzie światy się łamią —

ROKITA.

To nieprawda! Ty kłamiesz! Tutaj wszyscy kłamią!
Nikomu nie trza wierzyć! Wciąż fałsz chwyta ręka,
Każdy mnie jeno dręczy, prześladuje, nęka...

ZŁY.

Cicho, chłopusiu, cicho, kto ci tam dokucza?!
Nie, nie, nie... Jeno ciebie trochę się obucza,
Abyś wiedział, boś ty jest właściwie przybrany,
Ni nasz, ni nie nasz... Takie półdjable... Jak pany
Lubisz wiosnę, fiołki — ty masz pańskie gusta!
Nigdy klątwa przez twoje nie przemknie się usta —
Tak, w tobie coś pańskiego! — A to chamstwo głupie,
Które w tem naszem piekle osiadło na kupie,

Najprostszych rzeczy nie wie. Ot, taki hultaik
Wysłany tam na ziemię majem w jaki gaik,
Mógłby kopami ściągać do piekła dziewuchy...
Słuchaj, mam tu siwuchę... Łykniemy siwuchy?

ROKITA.

Czyś ty kiedy na niebie widział wielkie słońce?

ZŁY.

Na samą myśl wzrok ślepnie!

ROKITA.

Słońce gorejące
A na ziemi maj, wiosnę?

ZŁY.

Znów szał go porywa...

ROKITA.

Ukaż mi słońce!

ZŁY z siłą.

Nigdy!!... Duszo nieszczęśliwa,
Ciemny djable, co tobie po głowie się roi?
Wieczność jak wał granitów na drodze twej stoi
A ty łbem w głazy walisz, zbywszy sił ostatka!
W rokicinach, głuptaku, powiła cię matka,
Oddała tu — siedź cicho i tak rób, jak inni!
Słońca niejeden łaknął, byli nawet słynni,
Mieli spiski i bunty, skończyli na haku
I dziś są wzorem djabłów... Leż cicho, głuptaku!

Ziemią tobie wieczysty pomrok, łuna krwawa
Tobie słońcem, zgryzota teraz tobie światem,
Umarli fiołkowym niechaj będą kwiatem
A róż ponsem niech będzie posoka, co wstawa
Z ciał zabijanych, pij ją łącząc z własnym potem
A całe piekło tobie zawtórzy chichotem!

Pauza.

ROKITA.

Słuchaj — czy można: nie być?

ZŁY.

Kto już jest, ten będzie!

ROKITA.

Ja nie chcę być!

ZŁY z siłą.

Musisz być!

Nachyla się nad płaczącym Rokitą i mówi nieco łagodniej.

Musisz być wieczyście...
Kwiat każdy może uschnąć na rodzinnej grzędzie,
Z drzew jesienią powiędłe opaść mogą liście,
Skały kruszeją, w kamień rozpęknie się gleba,
Tobie tylko o biedny, biedny, wciąż być trzeba!

ROKITA.

Źle mi, źle!

ZŁY.

Sza, chłopusiu, nastaw jeno ucha...
Głos jakiś słyszę...

ROKITA.

Serca nie nękaj, ni ducha...

ZŁY.

Patrz w ten błyszczący punkcik, słuchaj!

ROKITA.

Ciche pienie — —

ZŁY.

Słuchaj! Głos ten nad nami brzmi, rozprasza cienie...

W dali śród urwistych skał odzywa się

GŁOS NIJI.

Leciutki wietrzyk przez pole dmie,
Mgła biała przed nim cichutko mknie,
Wietrzyk ją ściga, ach, żali się...
Próżno, wietrzyku, próżno,
Próżno, o płochy, próżno,
Nie schwycisz, nie!

ROKITA w zachwycie.

Śpiew, śpiew!

ZŁY.

To śpiew twej matki!

ROKITA.

Matki?... Matko!

ZŁY.

Ciszej,
Bo umilknie, gdy syna wołanie posłyszy!

Rokita drży, patrzy w dal, na twarzy jego grają sprzeczne uczucia. Zły kiwa medytacyjnie głową. Słychać śpiew coraz bliżej, ale nuta jego staje się dzikszą.

GŁOS NIJI.

Nie słuchaj, kotku, co szumi wiatr,
Uj, uj, uj!...
Nie słuchaj, kotku, co szemrze liść...
Liść się miota, pada z drzew,
W dal go zrywa chłodny wiew,
Trza, listku, iść, iść, iść...
Uj, uj, uj!...
Iść, iść, iść!...

ZŁY mrucząc w czasie zawodzenia.

Wyładniałaś mi, wiedźmo! Strojnisia! Widzicie!
Ślepia skrzą jak dwie gwiazdy, pysk — niebo o świcie!
Syn ci, kobyło, chory, wiesz? Żałość go trawi,
Smętek obu rękami za gardło go dławi,
Ściągnęło go, dzisz babo, bestyjo, psiajucho...
Skrzeczysz nikiej ropucha, aż wlazło mi w ucho!

Mruczy i wytrząsa ucho.

NIJA ukazując się na szczycie.

Listek za nowem latkiem ogląda się
A wiatr podyma świszcząc: nie łudź się!
Oj listku, listku nieboże,
Ulecisz w dal po ugorze,
Śnieżek bielutki, cieplutki
Utuli cię!

ZŁY zrazu mruczy, potem zaczyna wyć.

I marzy synisko, marzy, a czarowa goni...
Piekło was nie zrozumie!... Oj łza oko słoni —
Huuuuuu... Huuuuuu...
Żeby cię, żeby cię piorun trzasł!
Hau, hau, hau!

Nija zbiega w dół. Jest to czarowa w rozkwicie demonicznej urody, przybrana fantastycznie, bogato. W twarzy wiele stanowczości, choć w tej chwili przebija lekkie rozrzewnienie.

NIJA.

Chłopuś, niech cię uścisnę! Złocistości moje!
Nie poznałeś mnie? Co to, chłopuś, odpowiadaj!
Liczko blade? Co ciebie tak ściągnęło? Gadaj!
Serduszko bije? Co to? Żałość? Niepokoje?
Skąd ta żałość do ciebie, chłopusiu, trafiła?
Podkówki pod oczami? Mów, dziecino miła,
Biegłam do ciebie, szukam swojego gagatka — —

ROKITA.

Matko!

NIJA zimno.

Co — matko?... Abo ty wiesz, co to matka?
Niema matek... Co matki!

ROKITA.

Niema matek, niema...

NIJA.

Jak ty to mówisz!

ROKITA.

Utul rękami obiema,
Wiem, żeś jest moją matką!

NIJA tuląc go.

Głupstwo! Kto ci gadał?
Tyś nigdy matki nie miał, jeśliś miał, postradał!
Na granicy tych mroków wszelki związek pryska,
Pozostają czcze słowa, opaczne nazwiska...
W bajkach są matki!
Cicho... Mów, co ci, kochanie,
Gadaj a wnet się wszystko na mój rozkaz stanie!
Najpiękniejszą djabliczkę dam ci... Wiesz, djabliczki
Takie ładne! Jak ogień pałają policzki,
Oczka czarne, namiętne, ponętne, figlarne —
No, chcesz, chłopusiu, zaraz ci jaką wygarnę!

ROKITA.

Matko, ja tu być nie chcę!

NIJA.

Nie??

ROKITA.

Tu życie nocą,
Ja chcę odejść, gdzie wiosna!

NIJA.

Synku, naco? poco?
Czy ty wiesz, co to wiosna i co ona daje?
Młodym zawsze się roją jakieś wiosny, maje!

ROKITA.

Pokaż mi jasne słońce na wysokiem niebie
I ludzi, ludzi pokaż na rozległej ziemi!

NIJA.

Nie, och, nie, sza, chłopusiu, nie, to nie dla ciebie,
Tu łzą rzewną zapłaczesz, tam łkałbyś krwawemi!

ROKITA.

To pocoś mnie zrodziła, poco wychowała,
Kiedyś światło słoneczne oczom mym zabrała?
Poco, dawszy mi życie, wzięłaś tchnienie wiosny,
Czemu skułaś mnie w łańcuch woli bezlitosnej?
Czemu żar krwi pod skronią zbudziłaś u syna?
Ostudź go teraz, matko, gdy kipieć poczyna!...
Widzę, widzę w mgle siwej kraje łąk i gajów,
Zalane szumem borów i szmerem ruczajów,
Tęsknię, dusza się zrywa jak ptak z gniazda mroku,
Świat ogromny się skupił w roziskrzonem oku!
Na jawie o nim marzę, wśród snu on mnie budzi — —

tarza się u jej nóg.

Matko! Ja pragnę słońca, wiosny, kwiatów, ludzi!

NIJA.

Biedny, biedny!... A gdybym świat ci pokazała,
Nie powiesz, czemuś matko syna usłuchała,
Poco płacz mój cię wzruszył?

ROKITA.

Matko, syn cię błaga,
Wezwij orły, niech skrzydła roztoczą nad nami,

Ulecimy ku ziemi z chmurami, wichrami!
A jeżeli cię chłodna powstrzyma rozwaga,
To ja, syn twój zepchnięty, zdeptany, złamany,
Ja ciebie — —

NIJA.

Nie kończ!

Wznosi ręce i wymawia zaklęcie.

Burzo z północy, wschodu i zachodu,
Burzo wiej!
Z chmur obwodu
Wiej a wiej!
Lećmy, lećmy jak dwa puchy kwiatu!
Niechaj bieg nasz grom oznajmi światu!

Huk gromu. Ciemność i wicher. Nagle rozlewa się jasność słoneczna i ukazuje się górzysta okolica. W głębi przy drodze figura. Słychać dzwonki i kolekotki bydła. Rokita podnosi się z klęczek obok Niji, zasłania oczy ręką przed blaskiem dnia i woła w uniesieniu:

ROKITA.

Słońce, słońce, słońce, słońce!
Ciepły wiatr całuje czoło,
Góry, łąki na około,
Woń fiołków czuć! Ach, matko,
To powietrze blaskiem drżące —
Kwiaty, góry, słońce, słońce!

NIJA.

Ciesz się, o ciesz, chłopusiu, bo niedługo tego!

ROKITA nasłuchując.

Ah, matko, słychać jakieś głosy... Ludzie biegą...
Co to za śpiew? Czy słyszysz? Ach, to szumią drzewa...
Matko, śpiew!

NIJA.

Teraz tobie wszystko w koło śpiewa!

GŁOS KOBIECY.

Jagna, Kaśka, czy to wy? A gdzieżeśta się pochowały, zatracone gadziny?

Ukazuje się w głębi Baba. Jedna ręka pod fartuchem, druga u czoła.

ROKITA szeptem.

Matko!

BABA.

Wpadły jak do wody. A kto tero gęsi wypędzi, kto krowę pogna? Jezusie święty! Rozglądając się. Bartek, pijaku, dzisz, dzieuchy się kajś zapodziały!

NIJA.

Źle, kobieto, kiedy nie wiecie, co się z córkami waszemi dzieje.

BABA.

Uo! A co wielmożne państwo tu robiom? Pewnikiem wędrownicy na latowisku. Tacy się tero cięgiem trefiają. Niech im Pambóg da zdrowie. Bo gdyby nie te waryjaty, toby człek na tym scyrku całkiem głodem pomer.

Rozlega się w dali wrzawa.

ROKITA.

Głosy zmieszane dolatują!

BABA.

A cegóści naród krzycy. Zabiega i patrzy. Wej, co się to tam przytrafić mogło?

Słychać wołanie: Bartłomiejowa, Bartłomiejowa!

BABA.

Cegój wołacie? Tać ja haw, o!

Wbiega owczarz na czele gromadki mężczyzn i kobiet.

OWCZARZ.

Ola Boga, Bartłomiejowa, toś wasze dzieuchy z rzyki wyciągnęli!

WIEŚNIACZKA 1.

Martwe! Na śmierć się potopiły!

OWCZARZ.

Takeście to ich pilnowali? Kamień wom do szyi!

WIEŚNIACZKA 1.

Zwyczajnie jak macocha!

BABA.

Jezusie słodki, co wy ludzie powiedacie??

WIEŚNIACZKA 1.

Co powiedamy? Tie, mądra! Potopiły się, ot co powiedamy!

BABA.

Jagna? Kaśka?

WIEŚNIACZKA 1.

Toć je haw niosą, wejcie!

KOBIETY.

Biedne, potopione, potopione! Dzicie, co to mieć macochę! O, niosą je, niosą!

Lament.

ROKITA.

Ludzie, czemu zawodzicie? Cucić je, cucić! Może żyją jeszcze!

BABA.

O ja nieszczęśliwa kobito! Wybucha płaczem i zakrywa oczy fartuchem.

OWCZARZ.

Lamentuj tero! Wiele im z tygo przyńdzie!

KOBIETY do Baby.

Dzicie ją! — Ojej! jej! — Boże, Boże! — Macocha, macocha! Oj, z temi macochami!

ROKITA.

Ludzie, prowadźcie, pobiegnę z wami, pomogę! Ratujmy je, ja wam pokażę!

OWCZARZ.

Ehe, paniczu, my tyż ta nie tacy głupi. Leków u nas nie brak, ino nie ostatniom chorobe!

WIEŚNIACZKA 1.

Trupy to już, nie dzieuchy!

ROKITA.

Gdzie one, gdzie?

WIEŚNIACZKA.

Tędy, proszę wielmożnego panicza, o, tędy!

Rokita wybiega, za nim wieśniaczka, owczarz i cała gromadka. Baba desperuje.

BABA.

Co ja tero pocznę, nieszczęśliwa kobita! O, o, o! Potopiły się, na złość się potopiły, na złość mi kciały zrobić! O, o, o! A kto tero będzie chodziuł około chudoby, jej, jej! Tak, tak, macocha! Ja was znam, czyste dusze! Do Pana Boga wam się kciało na lekki chlib, ni miałyście żadnego uważania na macochę!

NIJA.

Wy, kobieto, pewnie wiele przykrości musieliście znosić od tych pasierbic?

BABA.

At, jak to z nieswojemi. Chłop pijok, dzieuchy ladajakie, odwróć oczy, to zaro myk za chłopakami... A tero to szyćko na macochę! Przecie wielemożna pani wi, jako to je na świecie.

NIJA.

Nie zważajcie na ludzkie gadaniny. Mój syn — —

BABA przestaje nagle płakać.

To to je wielemożnej pani syn?

NIJA.

Czyż nie wygląda na mego syna? Może mniemaliście, że to mój mąż?

BABA.

Eh, nie... Ino, że tu każda letniom porom przyiżdża z takim dużym synem. Słychać rosnący hałas.

O Chryste na krzyżu rozpięty, o Matko Bolesna!
O Jagna, Kaśka, cośta mi narobiły, dzieuchy zatracóne!

Wchodzi powoli tłum. Niosą na noszach zwłoki potopionych sierot. Baba zwraca się ku ciałom, załamuje ręce, desperuje. Kobiety wzdychają, ocierają oczy fartuchami, zaczynają w głos płakać. Mężczyźni stoją z odkrytemi głowami. — Rokita patrzy z przerażeniem na ciała, jakby nie rozumiał. Owczarz wychodzi na kamień i chrząka.

OWCZARZ.

Uciszcie się.

GŁOSY.

Cichojcie, cichojcie!

Lament cichnie, tylko macocha klęcząc piszczy cienkim dyszkantem.

OWCZARZ odchrząknąwszy powtórnie.

Moi mili ludkowie to je tak na tym bożym świecie. Ani wisz, kiedy cię śmierć ucapi za sukmanę a pociągnie, ani wisz, co ci je tam pisane. Oj moi mili ludkowie to je tak. Jeszcze na ten przykład staremu umirać nie żal, bo co ma być żal? Staremu zemrzeć to dla niego akurat w sam raz. Ale jak kto młody umiro, to zawdy człek się trochę nad tem zastanowi. — Widzicie tu, moi mili ludkowie, te dwie sierotki, nad któremi nieraz litowaliśma się. Bo jak Pambóg matkę zabierze a dzieci ostawi, abo jeszcze przypadkiem macochę im przyda — to strach!

BABA wybucha nowym lamentem.

Potępiona, ojej, osądzona!

OWCZARZ odwracając się do niej.

Cichaj, macocha.

GŁOSY.

Cichojcie, Bartłomiejowa, cichojcie!

OWCZARZ.

Płakały niebożątka na dolę, płakały a nikt nie był, coby je pocieszył, choć się nom serca krajały, że się to im tak nie powiodło. Bidactwa nie miały cirzpliwości wytrwać, ino się toto z rozpaczy do wody rzuciło. I nie bedzie na ich pogrzebie ani plebana, ani organisty, ani bicia w dzwony, ani nic! I ni może być inaczy, bo się potopiły. Aleć im to może Pan Bóg miłosierny daruje, bo to okrutnie źle na ten przykład miały. Do macochy.

Oj macocho, macocho, ciężko ty przed Panem Bogiem odpowisz! Piekło by się ulitowało a ty litości nie miałaś! Do tłumu. Tak wam tu moi ludkowie pod tą figurą mówię, że się Panna Przenajświętsza zmiłuje i łaskę u Syna swojego dla nich wyprosi.

Cała gromada wybucha płaczem i zawodzeniem.

A ponieście je choć pod kościół, ludkowie, niech przed wrotami bodaj godzinę postoją!

Nowy lament. Mężczyźni stają przy noszach, biorą za drążki i ruszają. Owczarz wznosi ręce i intonuje:

»Be-ja-da ci uoj-cze-e i ma-te-ko nie-de-ba-ła-a«...

TŁUM piskliwie.

»Żeś wstydu dzieci swych nie nauczała... Powstaną na was i córki i syny, by wam złorzeczyć tej strasznej godziny.«

Tłum wychodzi. — Macocha sunie za zwłokami lamentując. Śpiew zwolna cichnie w dali. Rokita podbiega do Niji, raz jeszcze ogląda się za odchodzącymi.

ROKITA.

Matko, to straszne, straszne!

NIJA.

Widzisz, moje dziecię,
Zapamiętaj: to ziemia, to ludzie, to życie!

ROKITA *z ręką na sercu.*

Boli, matko, tu boli!

NIJA.

Boli, synku, boli!
Takich jak ty wciąż boli... Patrz, to ziemia daje,
Tem tylko serce ludzkie nakarmią jej maje...
Ty służyłbyś tu każdej łzie, każdej niedoli!

ROKITA.

Bije nierówno... czasem szarpnie... bić przestanie...
Matko! *U nóg jej.* Boli!

NIJA *wznosząc ręce.*

Zagaśnij słońce płomienne,
Ćmij się poranku biały,
Światło dzienne,
Blasku nietrwały!
Dość bólu, dość!
Dość żałości, dość!
Burzo z południa, wschodu i zachodu,
Wiej tchnieniem mroku i trupiego chłodu!
Śród huku gromu
Do ciemności domu
Na wieki — na wieki —
Na wieki!

Rozlega się uderzenie piorunu. Ciemność pokrywa świat. Zaświstały wichry i ucichły. Znowu strome urwiska, rozjaśnione nieco sinem, mistycznem światłem. Nija i klęczący u nóg jej Rokita znajdują się nagle w kole Djablików, które rozlatują się na wszystkie strony. Z pieczary jak pierwej bije łuna czerwona. Zły skomli radośnie, kiwając ku Rokicie kudłatym łbem, rwąc się z łańcucha i mrucząc: »Synuś, chłopuś!« — Cisza.

ROKITA rozglądając się.

Gdzie jestem? Straszno, ciemno, w koło trupie tchnienie.

NIJA silnie.

Śniłeś — ocknij się!

ROKITA.

Zimno... Znów dłoń chwyta cienie..

NIJA.

Ocknij się błędny duchu! Usty matczynemi
Powtarzam tobie: nie marz ty więcej o ziemi
Nie marz i ciesz się, że twa źrenica ślepnąca
Odwrócona w ciemności od ludzkiego słońca!
Tu serce pod tą czarną pomroku mogiłą
Będzie w piersi spokojniej bić, niźli — tam biło!

Rokita leży twarzą do skały. Ona pochyla się nad nim.

Cicho, chłopusiu... Tego nie wymyśli piekło,
Co ludzie codzień czynią... Dość już łez wyciekło,
Zapamiętaj to sobie! — Cicho, sza, chłopusiu...
Tu przy ojcu śród mroków śnij cicho, synusiu...
On zły, lecz może znajdzie lek na twoją bidę...
Cicho, sza, śpij, synaczku, już idę, już idę...

Odchodzi wolno, staje i ogląda się. Sunie znowu i ogląda się. Rokita leży jak martwy. — Nija wzdycha, pociera czoło, zaczyna nucić, oddalając się powoli i wstępując na urwiska.

Leciutki wietrzyk przez pole dmie,
Szumi liść zwiędły, już ściele się,
Gromadnie pada z odartych drzew,
Niesie go wiew, niesie go wiew...

Nie słuchaj tego, co szumi liść,
Nam trzeba iść, wciąż dalej iść!
Ach, listku, listku, co skarzysz się?
Nam trzeba iść, iść, w dali gubić się...

Znika w górze. Śpiew jej zamiera śród urwisk. Rokita po chwili podnosi głowę.

ROKITA.

Więc piekło nie wymyśli tego, co na ziemi
Czynią ludzie codziennie...

Znowu pochyla twarz ku ziemi i po niejakim czasie podnosi.

Niech mroku mogiła
Dźwignie się nad twojemi snami burzliwemi
Na wieki... tak... na wieki!
I jeszcze mówiła:
Ty służyłbyś tam każdej łzie, każdej niedoli...
Boli, boli, wciąż boli... Czemu to tak boli?

Wznosi twarz.

Co to jest, co tak boli?

Wizyjnie.

Patrzaj... liczko blade
Jak obłoczek... Ach, drżącą dłoń na serce kładę,
Jeszcze bije przez chwilę... tyk-tak... już przestało...
Co to się stało? Co to się stało?
Co to się stało??

ZŁY.

Chłopusiu biedny...

ROKITA rzewnie.

Wiesz? Dziś — dziś widziałem słońce
I pachniały mi cudne fiołki na łące.

ZŁY.

Płaczesz, Rokita!

ROKITA.

Potem dwie dziewczyny blade,
Potopione... Podbiegam, dłoń na serce kładę...

ZŁY wpatrując się w niego coraz niespokojniej.

Chłopusiu!

ROKITA.

Chwytam — ciało łamie się w mych ręku
Z piersi ostatnie tchnienie niby echo jęku
Ulatuje... Tłum zbiega po pagórka zboczu...

ZŁY.

Toż dwie czerwone strugi cieką tobie z oczu!

ROKITA ociera ręce i patrzy.

Czerwone... tak... czerwone... mówiła... mówiła...
A może ta łza krwawa sieroty splamiła?...
Unoszę, jeszcze badam zlękłemi oczyma
Resztek życia — —

ZŁY.

Śmierć — i już na to rady niema!

ROKITA z siłą.

A gdybym tam był pierwej!

ZŁY.

To ludzkie koleje,
Doli ich nie odwrócisz jak wiatru, co wieje.

ROKITA.

Gdybym tam był?! Ach, gdybym szedł w ziemi obwody,
Możeby tam sieroty nie biegły do wody
Po wybawienie...

ZŁY stanowczo.

Słuchaj, Rokita — —

ROKITA uderza się w pierś i w czoło.

Tu w łonie
Mówi mi i tu huczy przez płonące skronie,
Że gdybym tam zamieszkał, wtedy w nurtach rzeki
Nie szukałyby ciszy... Lecz jam tak daleki!

ZŁY.

O głupi, ciemny djable, co ci się tam bzdurzy?
Zleź do jakiej otchłani hen po stoku wzgórzy
I śpij... Znać złe powietrze ciebie tam owiało...
Tu, tu, tu... Co to tobie »tu, tu, tu« pukało?
Co?? Słuchaj tego »tu, tu«... Głupi, głupi, głupi,
Idź na ziemię i sprzedaj to »tu« — kto je kupi?!
Żali ty chcesz odwieczne odmieniać porządki?
Pierwej by się to wszystko rozpadło na szczątki,
Niżeli odmieniło, djable oszalały,
Maniak jesteś! Patrz, mroki łoże ci usłały
Miękkie łoże ciemności!... Co to pytać, badać!
Przez wiekuistość jeno to wszystko się toczy,
Grzmi, połyska i w biegu rozpryska, jednoczy,
A ty, ćmo, chcesz w to swoją słabą rękę wkładać??

ROKITA.

Patrzyła jeszcze na mnie oczy przygasłemi,
Szklistemi... Potem głowę schyliła ku ziemi...
Tyk-tak... i bić przestało... Jęk słabiuchny dzwoni
I zwolna sina modrość przepełza po skroni...

ZŁY.

Słabizno z mgły utkana i blasku miesiąca!
Sierotami, wzdychaniem zawracać chcesz głowy?
Żali śnisz, że w tem wszystkiem bez kresu, bez końca,
W tem wszystkiem grzmiącem naprzód przez pomrok
wiekowy
Jest na to czas? — Patrz jak jest i jak jest tak będzie!
Nie odmienisz ty świata, nie powstrzymasz w pędzie!
A gdy ramię zuchwałe w szalonym sposobie
Chwyci w to, to się wszystko zwróci przeciw tobie!

ROKITA.

Zamilknij, podły wężu!

ZŁY.

Wężu!... Unieś czoła!
A wiesz ty, kto przed tobą? Kto na ciebie woła?
Czyja piana się toczy na twe młode łono,
Czyja ślina na głowę pada naznaczoną?
Latawica ci matką!... A wiesz, jakie moce
Zapłodniły ją, kiedy schodziła w te noce?
Ty, tchnienie, wiesz li z jakiej piersi uleciałeś?
Przeciw komu ty zgrzytasz? Kogo wężem zwałeś?
Podnieś wylękłe czoło i patrz tu, słabizno!
Czoło to naznaczone taką samą blizną,
Bóg dotknął, tu strącając — i znamię zostało...
Próżno się tam miotało, pieniło, zgrzytało...

Na czole twojem — dotknij — takie same znamię...
Zło ci ojcem a ty chcesz w szale dźwigać ramię,
Zmieniać stare porządki po epokach tylu?
Dokąd lecisz nieszczęsny, obłędny motylu!
Czy mniemasz, że dla twego płaczu te pustynie
Runą, że toń ciemności rozproszy się, zginie,
Że ten świecący punkcik, ta ziemia w dal mknąca,
Dziś bólem zamroczona, łzami, krwią ciekąca,
W jakąś słoneczność wzleci, bo ty tego żądasz,
Bo ty się za kwiatkami i wiosną oglądasz,
Bo ciebie »tu« coś boli, »tu«, to coś głupiego,
Nienazwanego, ciągle kołatającego...

Grzmiąco.

Tam, tam, tam, do otchłani! Tam, na dno opoki,
Tam pomiędzy najgęstsze ciemności i mroki,
Idź opamiętać się! Bowiem ja pierwszy na ciebie
Z temi ot pazurami skoczę, w noc zagrzebię
A za mną te granice i ten wszechbyt cały
Ruszy — tam do otchłani, djable oszalały!

Pauza.

ROKITA.

I tylko boli, boli, boli tak...

ZŁY.

Przeboli,
Przeburzy się a myśli jak głodne brytany
Pogryzą się... Nieczułość ramieniem okoli,
Obojętność, chłód miły, synaczku kochany!

ROKITA.

I chłód ten wieje zewsząd...

ZŁY.

Wieje i ukoi...
Abo to bunt się rodził tylko w głowie twojej?
Ilu to takich było, miotało się, zgniło!
Cyt, chłopusiu, idź jeno tam na dół do rzeki
I obmyj te czerwone na twarzy — wypieki...
A potem dąż na lewo, dwa ujrzysz strumienie,
Jeden zowie się Cisza, drugi Zapomnienie,
Napij się i — zapomnij...

ROKITA.

Nie, nie — już nie mogę!
To światełko już padło na myśli mej drogę
I rozjaśnia noc chłodną, daleką a ciemną...

W zachwyceniu.

Aaa... Patrz! Ono przedemną teraz, tam, przedemną!

Ukazują się Duchy Dwóch Sierot. Suną jak lunatyczki z wyciągniętemi przed siebie rękami, bielejąc śród ciemności.

SIEROTA 1 echowym głosem.

Ktoś nas chciał ratować... Kto? Kto?

SIEROTA 2.

Kazano go nam szukać... Gdzie on? Gdzie?

Błądzą i zawróciwszy suną wprost na Rokitę.

SIEROTA 1.

Pójdź, pójdź pójdź!

SIEROTA 2.

Pójdź, pójdź!

Rokita wyciąga ku nim ramiona. — Na twarzy jego maluje się zachwyt; wydaje z piersi głos uniesienia, ekstazy. One zawracają z rękami wyciągniętemi. Rokita sunie za niemi jak przez sen. Znikają. Zły miota się. Na jego wycie wybiega Krętacz. Zły nie może z wściekłości słowa wykrztusić, tylko ukazuje w dal i wreszcie charczy:

ZŁY.

Tam — za nim — na ziemię — krok w krok!

Koniec aktu pierwszego,

albo:

Prologu.

AKT DRUGI.

OSOBY AKTU DRUGIEGO:

ROKITA, baccalauraeus wszechnicy jagiellońskiej osiadły w Wiśle, u stóp gór Beskidowych.

NIJA, jego matka.

KRĘTACZ, ich pachołek.

WYGODA, zamożny człowiek, właściciel folwarku, młynów i t. p.

PANI WYGODZINA.

PANNA KRZYSIA WYGODZIANKA.

PAN WŁODEK, dygnitarz wiejski, organista.

FRANIO
KUBUŚ
IGNAŚ
JĘDRUŚ
} uczniowie Rokity.

DZIATWA SZKOLNA.

Rzecz dzieje się w połowie XVI. wieku.

Ziemia. Zaciszne wiejskie ustronie u stóp gór Beskidowych, kędy Wisła się rodzi. — Skwarne lipcowe przedpołudnie. — Po prawej ukośnie front oparkanionego domu pana Wygody, zamożnego człowieka; ganek obrosły bluszczami, które pną się po białej ścianie i przerzucają na dach łamany o dwuch bielonych kominach; zielone okiennice z otworami w kształcie serca; w oknach firanki, doniczki z kwiatami. Na małej przestrzeni między ścianą a parkanem kipi roślinność, nad którą, niby piana, bieleją rozkwitłe lilje. Przy parkanie w głębi za furtką rozłożysta lipa, okolona ławeczką. — Po stronie lewej studnia z żórawiem a dalej zarośla, w których gubi się ścieżka. W głębi ciągnie się rząd kępiastych wierzb a za wierzbami bieli się niski dom o dachu krytym dranicami; na dachu komin, z którego wydobywa się przejrzysta smuga dymu. W środku półotwarte drzwi a nad niemi widnieje tablica z napisem: »SZKOŁA«. Po obu stronach drzwi para okien. — Nad dachem szkoły, przysłoniętym po części zielonemi kępami wierzb, wysoko, na tle błękitnego nieba, majaczeją widmowe szczyty gór. — Obok drzwi szkoły na niskim stołeczku siedzi Nija, na kolanach foliant, zatopiona w nim całkowicie czyta posępna, nieruchoma; na nosie okulary o szkłach okrągłych w oprawie ołowianej, których używa tylko do czytania a potem zdejmuje; ciemny strój mieszczański i blade skamieniałe oblicze wywierają wrażenie grozy i tajemniczości. Na progu szkoły stoi Krętacz, przebrany w strój pachołka; twarz czarniawa, oczy kose, głowa wciśnięta w ramiona; utyka na lewą nogę. Rozgląda się badawczo i szepcze coś Niji do ucha. — Przy parkanie stolik i dwa krzesła. Siedzą, popijając miód, pan Wygoda i pan Włodek. Przy nich stoi z pończochą w ręku pani Wygodzina.

Dostatnie stroje z waszecia. Wygoda w pełni sił męskich, czerstwy, jowialny, niezmiernie z życia zadowolony Pani Wygodzina również w sile wieku, nader przystojna, posiada dużo godności i swobody w obejściu. Pan Włodek już dobrze siwy, ale krzepki jeszcze; postać okazała; znać frasunek topi w libacyach gościnnego domu, bo wzdycha i nadrabia miną, ocierając niekiedy czoło chustką kolorową. Krętacz sunie ku studni, dobywa wiadro za pomocą żórawia i stawiwszy je na ocembrowaniu przechyla, pije, wciąż podsłuchując.

WYGODA.

Ej, panie organista, toż duch inny zgoła
Powiał po ludziach, odkąd stanęła ta szkoła.
Codziennie błogosławię jej bielone ściany,
Bo nietylko nauka dziatwie ukochanej,
Lecz i dorosłym korzyść wypływa niemała.
Oby nam ona wieki szczęśliwie przetrwała!
A nasz bakałarz — perła nie człowiek!
U djaska,
Nic nie pijecie?

WYGODZINA biorąc dzban, nader uprzejmie.

Można nalać?

WŁODEK wypił i stawia kubek.

Jeśli łaska. Wzdycha.

WYGODA.

Powiedzcie jeno sami, a gdzie się to zdarza
Dostać na wieś takiego pana bakałarza,
Który nietylko wiedzy książkowej jest świadom,
Ale i zdrową radą usłuży sąsiadom?
Ileśmy lat żył wodnych w całej wsi szukali,
Wożąc w beczkach ze źródeł ćwierć mili, czy dalej!

A on w tem miejscu stanął, spojrzał, wskazał nogą
I zawołał: »Tu ludzie studnię kopać mogą!«

Śmieje się. Po chwili.

Nie chcieli wierzyć! Bo to, jako pamięć sięga
Zawsze była z kopaniem daremna mitręga.
Wtedy sam chwycił rydel jak parobczak jaki,
Nuże ze wstydu za nim ruszyły chłopaki,
Ledwo się na dwa łokcie w ziemię zagłębili:
Mokro!

Biorąc Włodka za kolano.

Mokro, słyszycie?

WŁODEK.

Słyszę...

WYGODA.

A po chwili
Jak nie tryśnie ku górze! Więc w nogi! — O mało
Jednego przy kopaniu onem nie zalało.

WŁODEK patrząc na studnię.

Ano prawda, jest studnia pod samą zagrodą.
Duża dla was wygoda — no, a za wygodą
Idzie wdzięczność. Rozumiem.

WYGODZINA.

Wszyscy skorzystali!

WŁODEK.

Lecz nierówno. Do studni mnie już trochę dalej...

WYGODZINA.

Eh, organista filut! O, to sztuka skryta!
Już mu tam coś przeskrobać musiał pan Rokita,
Bo do pochwał nieskory.

WŁODEK.

Gdzieby...

WYGODZINA.

Ja po minie
Miarkuję. Wszak pan Włodek ze skrytości słynie,
Znamy się nie od wczoraj, bo po bożej woli
Jużeśmy chyba z sobą zjedli beczkę soli.

WŁODEK kłaniając się z galanteryą.

Również są nam jejmości znane krotochwile...

WYGODZINA biorąc dzban.

No, to żeby nam zawsze czas tak schodził mile
I słoną przyjaźń trochę osłodził — kapeczkę
Naleję jeszcze.

WŁODEK.

Ale — kapeczkę!

WYGODZINA zarzekając się

Kapeczkę! Nalewa pełno.

WŁODEK.

Bo to miodek odstały a skwarno troszeczkę,
Bije do głowy.

WYGODA.

Do was, kochany sąsiedzie!

Piją, stawiają kubki i ocierają wąsy. Pani Wygodzina po chwili odchodzi przez ganek, wciąż robiąc pończochę.

WYGODA.

A pamiętacie w jakiej bywaliśmy biedzie,
Kiedy mi wiatr najlżejszy nie pędził wiatraka?
Toż raz przez trzy miesiące trwała bieda taka!
Wtedy niebo zesłało tego bakałarza.
Poszedł nad rzekę, stanął, popatrzył, rozważa,
Nagle wraca i każe budować mi tamy.
Naco? pytam. Powiada: »Młyn wodny stawiamy.
Gdy wiatr wymawia służbę, trzeba zaprząc wodę!«

WŁODEK.

Tak tedy pan Wygoda miał nową wygodę..

WYGODA.

Nie od wczoraj ja żyję, znam ja świat i ludzi,
Niejeden pan uczony podziw we mnie budzi,
Przed niejednym duchownym kornie czoła schylę,
Lecz aby w jednej głowie było umu tyle —
Nie, młyn wodny! Czy słyszał kto? Jak kocham życie!

Pije.

WŁODEK.

Toż wy teraz na wszystko przez ten młyn patrzycie!

WYGODA postawił kubek i popatrzył.

Ej, czyś mi krzyw? Bo czasem, panie organista,
Tak coś powiesz, jak gdyby — —

WŁODEK.

No, no, oczywista,
Zaraz krzyw, gdy mu słówko bąknąć na Rokitę!

WYGODA porywczo.

Bom ja za prawdą!

WŁODEK również porywczo.

Ja też!

WYGODA filuternie.

Masz w twarzy wyryte,
Że cię nurtuje zazdrość.

Pan Włodek porusza się niecierpliwie na krześle.

Nim szkoła stanęła,
Do domu organisty dziatwa się garnęła,
Ale odkąd się zjawił nauczyciel młody,
Powaga uszczuplona, zmniejszone dochody...

Śmieje się. Zmienia ton.

Lecz to niesprawiedliwie, sąsiedzie kochany,
Niesłusznie waść na niego jesteś zagniewany,
Wierzaj mi, urojone są te twoje troski!
Rokita z akademii wychodzi krakowskiej,
Ma stopień bakałarza, mąż wypróbowany,
Byle kogo krakowskie nie wypuszczą ściany!

WŁODEK.

Coś tam teraz niebardzo w Krakowie, boć pono
Całe fury nowinek z Niemiec przywieziono.

WYGODA.

Jakich nowinek??

WŁODEK.

Jakich? Nie starczą dwie słowie...
Zresztą — dwie akademie są teraz w Krakowie.

WYGODA.

Jakto: dwie??

WŁODEK.

Tak, dwie. Jedna, to jest ta prastara
W mieście, kędy coś jeszcze znaczy Bóg i wiara,
Druga zaś na Krzemionkach, gdzie śród nocy kruczej
Pan profesor Twardowski czarnej magii uczy.

WYGODA stropiony.

Ej, co też powiadacie!

WŁODEK.

I ponoć z tej wtórej
Wyszedł bakałarz.

WYGODA.

Hm, hm, dziwne konjunktury!

WŁODEK.

A czyście wy się matce jego przypatrzyli?

Odwracają głowy i patrzą na Niję.

Oczu swych nie oderwie ani na pół chwili
Od tej księgi. Czy kiedy po ludzku zagada?
Wzrok posępny a twarz jej jak u trupa blada.

W tej chwili Nija podnosi oczy i mierzy ich badawczem spojrzeniem, jak gdyby przenikała ich myśli. Oni szybko odwracają głowy.

WYGODA.

Zaprawdę, dziwna postać... Aż mrowie przechodzi,
Kiedy z za okularów wzrokiem w koło wodzi...

Znowu zerka. Ale Nija już opuściła głowę a tymczasem Krętacz zbliżył się do niej, szepnął jej coś do ucha i wszedł leniwym krokiem do szkoły.

Przytem ten ich pachołek! Wzrok bazyliszkowy
A nigdy z ramion prosto nie wychyli głowy.

WŁODEK.

Więc i wy to widzicie!

WYGODA pomyślał chwilę i machnął ręką.

Pal ich sześć! — Na zdrowie!

Trąca się. — W tej chwili ukazuje się na ganku Krzysia. Sukienka biała, czerwony serdaczek, żółte kyrpetki. Twarz blada o jakimś ukrytym smutku, włos bujny opada w puklach na plecy; w ręku książka. Siada pod lipą i czyta. — Włodek zerknął na nią i odpowiada Wygodzie:

WŁODEK.

Zdrowie! Ładne mi zdrowie... Strapienie na głowie!

WYGODA.

Ej — tyś krzyw!

WŁODEK.

Tie — markotny. Żal mi Jaśka mego.

WYGODA.

Jaśka mu żal! No, cóżeś wymyślił nowego?

WŁODEK.

Panie Wygodo, co to w bawełnę owijać...
Miło mi tutaj z wami słodki miodek spijać,
Ale gdy oko padnie na tę dziewkę młodą — —

Nagle zmienia zamiar.

Eh, bądźcie zdrowi! Wstaje.

WYGODA sadzając go.

Tra-la-la!

WŁODEK.

Panie Wygodo!
Rok już po zrękowinach, chłopczysko się biedzi,
Zwlekacie odkładając ciągle zapowiedzi —

Stanowczo.

Dacie waszą Krzysieńkę mojemu Jasiowi?

WYGODA.

Kiedy bo tak naglicie...

WŁODEK.

Czy też ludzie nowi
I mego nieboraka przyćmili?...

Wygoda jakby nie słyszał. Obraca się na krześle w stronę córki, twarz rozjaśnia mu się anielskim uśmiechem, woła filuternie:

WYGODA.

Krzysieńka!

KRZYSIA wstając.

Słucham was, ojcze.

WYGODA.

Ano, podejdź tu, maleńka!

Krzysia staje przy ojcu. On ją obejmuje w pół i mizdrzy się do niej po ojcowsku.

Jaka to buzia, jakie ślipeczki rzęsiste!

Przykłada ucho do jej piersi.

A serduszko puk, puk, puk... Oj, niewinne, czyste!
Czy mówi co?

KRZYSIA zmieszana.

Tatulu...

WYGODA.

Nic jeszcze serduszko
Nie mówi? To ja powiem po cichu, na uszko...

KRZYSIA.

Pobiegnę w gospodarstwie pomagać matuli...

WYGODA.

Widzicie, moi ludzie, jak to uszy tuli
I zmyka, kiedy spytać koło tej materyi!

KRZYSIA.

Bo spalę się ze wstydu...

WYGODA.

No, dość tych breweryj.
Jak tam idzie nauka?

WŁODEK zaintrygowany.

A — jaka nauka?

WYGODA.

U nas jest tylko jedna. Do córki. Cóż, bakałarz fuka?

WŁODEK *wstając.*

Bakałarz??

WYGODA.

No, bakałarz! Przecie, małowiela,
Jeszcze nie było nauk bez nauczyciela.

WŁODEK *siada zasępiony.*

No, no...

WYGODA *do córki, czule.*

Umiesz już czytać gładko?

KRZYSIA.

Jako tako...

WYGODA.

A z pisaniem jak idzie malusia?

KRZYSIA.

Jednako...

WYGODA.

No i bakałarz zrzędzi bardzo?

KRZYSIA.

Czasem... trochę...

WYGODA.

Jakże miłe mi ono niebożątko płoche,
Powiewne, lecz jej cnota jak mur twardo stoi,
Ni anioł niewinniejszy od córuchny mojej!

Do Włodka z rozrzewnieniem.

Żali to wie o grzechu?

Do córki.

A jak się to płoni
Niby jabłuszko!

Odejmuje jej ręce od twarzy.

Co kryć twarzyczkę śród dłoni!
Patrz śmiało, strzegą swego skarbu rodziciele,
Nie tak jak inni, jako innych wiele, wiele!
Toż trzy lata minęły, kiedy to z topieli
Bartłomiejowej Jagnę z Kachną wyciągnęli,
Bartłomiej pijak — ale dziś pijaków niema,
Dziś pan bakałarz wszystkich ludzi w ryzie trzyma!

WŁODEK.

Widzę — widzę — a nawet widzę znacznie więcej!

KRZYSIA.

Odchodzę...

WYGODA.

Cóż tam widzisz znów, kroć sto tysięcy!

Obaj zrywają się i patrzą na siebie groźnie.

Gdyby ktoś świętokradzką śmiał wyciągnąć rękę
Po mój skarb, to się tutaj klnę na Bożą Mękę...

Nagle urywa i nasłuchuje; wyraz twarzy zmienia mu się zupełnie, woła radośnie:

Idą! Krzysia pierzcha przez ganek.

Ano tak! Idą, hej, matuś, Krzysieczko!

WŁODEK.

Co? Kto idzie?

WYGODA.

Nie słyszysz? Już są niedaleczko.
Pan bakałarz z wycieczki powraca ze szkołą,
A jak zgodnie śpiewają, jak im to wesoło!

Słychać marsz dzieci i śpiew. Wygoda bierze się za poły, poczyna w takt maszerować i nucić pieśń, którą śpiewa zbliżająca się dziatwa.

CHÓR DZIATWY za sceną.

Wrony konik w stajni rży,
Aż się z nozdrzów sypią skry,
Wabi słonko, wabi łan,
Lecz w łóżeczku leniuch pan.
Wstawaj, panie, pora już,
Słonko błyska z po za wzgórz,
Czesz się, myj się, buty wzuj,
W świat polecim, panie mój!

Na ganku ukazuje się z pończochą w ręku pani Wygodzina, za nią Krzysia. — Z lewej wchodzi dziatwa maszerując parami i śpiewając ostatnie słowa pieśni. Słychać już zdala donośną komendę Rokity, który teraz wchodzi krocząc obok kolumny. Ma na sobie strój bakałaureusa wszechnicy jagiellońskiej. Na zarumienionej twarzy szczęście, fantazya, młodzieńcza nietroskliwość; w całej postawie rozmach. W lewej ręce pęk roślin, na piersi wiązka dzikich róż; w prawej ręce kij, którym jak orężem uwydatnia komendę.

ROKITA.

Żwawo, chłopcy, na prawo! Hej, do góry głowy!
Co, zapłonił twarzyczki promyczek lipcowy?
Kubuś, trzymaj się linii! Stanąć wszyscy społem:
Front! —

Dzieci stają i robią front. Malownicze ubiory owej okolicy, skalnej kolebki Wisły. Obcisłe spodenki z jasnego sukna, czerwone kamizole na piersiach rozpięte krypce, kapelusze z paciorkami. Miny czupurne, twarzyczki w rumieńcach. — Wygoda staje przed frontem i otwiera ramiona.

WYGODA.

Jakże się miewacie!

ROKITA.

Dzieci, baczność!

DZIECI na raz.

Czołem!

WYGODA.

Czołem, czołem! A jakie karne, proszę, proszę!

WYGODZINA kiwając ręką z ganku.

Witamy!

ROKITA.

Dzieci baczność!

DZIECI na raz.

Czołem!

WYGODZINA nie posiadając się z radości.

To rozkosze!
Co za pomysły świetne, no niech mi kto powie!

W czasie tych słów pan Włodek zażył tabaki i kichnął.

ROKITA.

Dzieci, pan Włodek kichnął, baczność, hej!

DZIECI j. w.

Na zdrowie!

WŁODEK z ukłonem.

Bóg zapłać!

WYGODZINA.

Nie, bakałarz to istny czarodziej,
Gromadzie swywolników jak wojsku przewodzi!
Panie Rokita, może miodku, albo mleka?
No, pół szklaneczki?

ROKITA.

Dzięki.

WYGODA z gestem do Włodka.

Oto wzór człowieka!

WŁODEK kiwając głową.

No, no...

WYGODA przed frontem.

Kubuś, a cóżeś to taki czerwony?
A spocony a jaki mi rozochocony?
Służy ci szkółka? Słuchaj pana bakałarza.
Ucz się a miarkuj! Niechaj myśl młoda się wdraża
Do porządku, nauki, do życia na świecie —
Bóg ci dał przewodnika rzadkiego, me dziecię!

ROKITA.

Zbyt łaskawie...

WYGODA tryumfująco do Włodka.

Co??

WŁODEK.

Prawda, człek światły, obyty...

WYGODZINA.

Myśmy z całem uznaniem dla pana Rokity!

ROKITA.

Żali jest coś milszego jak młódź wzrastająca,
Co niby kwiat porankiem zwraca się do słońca

Po pierwszy promyk światła na życia dzień cały?
Oby ich myśli nigdy... mroku... nie zaznały!
Prowadźmy pokolenia słonecznemi drogi
A będzie nam dziękował pokoleń rząd mnogi.
Coraz mniej trosk na twarzach ślady łez wyżłobi,
Coraz więcej uśmiechów szlak bytu ozdobi,
Bo jeżeli dane człowiekowi życie,
Czemu niema go spędzić w szczęściu i zachwycie?

WŁODEK poważnie.

Byle to było zgodne z bożem przykazaniem!

ROKITA zły.

Ech!

Miarkując się nieco.

Kie-dy-bo-wy-za-raz-tak...

WYGODA przerywając.

A cóż to z Franiem?
On mi jeden bledziuchny śród całej drużyny.

ROKITA.

To mój najlepszy uczeń!

WYGODA z uznaniem.

Ho, ho!

ROKITA do Frania.

Pójdź, jedyny!
Pan Wygoda jest ciekaw, co robimy w szkole,
Jak myśl kształcim, czy w główce też same swawole?
Trzeba przecie pokazać, że coś robim, dziecię,
Prawda?

WYGODA.

Tak, tak, że kaszy za darmo nie jecie.

Rokita wyprowadza Frania przed front, klęka przy nim na jedno kolano i głaska go po głowie.

ROKITA.

Ot wiesz, Franiu, opowiedz co dzisiaj czyniłeś,
Jak ten przecudny ranek z kolei spędziłeś.
Mów śmiało, głośno, chłopcze, by wszyscy słyszeli,
No!

FRANIO.

Mam mówić — czy wszystko?

ROKITA.

Wszystko, tylko śmielej!

FRANIO.

Raniutko, kiedy spałem, do mego okienka
Przyszła w czerwone blaski przebrana Jutrzenka
I szepnęła: wstań Franiu, dzwonek w szkole dzwoni,
Pójdziem z panem Rokitą po zroszonej błoni
Rozmawiać z kwiatuszkami, z ciepłemi powiewy
I z rojem ptasząt polnych słodkie nucić śpiewy.

WYGODZINA nie mogąc się pohamować.

Jezu!

ROKITA skupiony.

Mów dalej, Franiu...

FRANIO.

Skoczyłem z łóżeczka,
Wybiegam — a tu do mnie jasna twarz słoneczka

Uśmiecha się radośnie, dzieńdobry powiada
I wietrzyk mi na czole pocałunek składa.
Z grusz i jabłoni ptasząt gromada się zrywa,
Ulatuje przedemną, świergoce szczęśliwa:
Spiesz, Franiu, ciesz się z nami, noc się zakończyła
I dzionek, dzionek znowu!

WYGODZINA.

Co to za dziecina,
Jak on myśli!

KRZYSIA.

Jak czuje.

WYGODZINA.

Mów, dziecino miła!

ROKITA.

Mów dalej, Franiu...

FRANIO.

Ale mnie się przypomina,
Że nie wszystkim przyświeca to słoneczko złote
I nie wszystkim ukoi wietrzyk ich tęsknotę,
Że są tacy, dla których kwitną tylko smutki...
Więc skręciłem nad strugę, zbieram niezabudki,
Potem idę na cmentarz i wianek uwity
Składam na grób sierotek dwóch pana Rokity...

Wszyscy spojrzeli po sobie. Milczenie.

KRZYSIA.

Na grób Jagny i Kasi...

WYGODZINA ocierając łzy.

Boże, Boże, Boże,
Niech światłość wiekuista świeci im...

FRANIO.

Rokita,
Prawda, że one biedne?

ROKITA.

I dobre... W przestworze
Mało takich...

FRANIO.

I prawda, że każda z nich chwyta
Wianek chętnie i wdzięcznie uśmiechnie się za to
Chłopczynie?

ROKITA.

Prawda...

FRANIO.

A więc dopóki jest lato
Trzeba, byśmy mogiłki w kwiaty przybierali?

ROKITA.

Prawda, mój chłopcze, prawda... Mów dalej, mów dalej...

FRANIO.

Wtedy łezka się w mojem zakręciła oku,
Wybiegłem z wrót cmentarnych, przyspieszyłem kroku,
Wyciągnąłem hen ręce do pięknego świata
I zdało mi się, żem jest on ptak, co ulata,

Że mam skrzydełka jako ten skowronek szary
I że jak on w niebieskie wznoszę się obszary...
Ziemio, szeptałem, ty mi dajesz te jutrzenki,
To niebo i te dziwne w powietrzu piosenki
I wietrzyk, co do ucha powiastki mi baje — —

WŁODEK *surowo.*

A gdy to Ziemia dawa, to cóż Bóg ci daje??

ROKITA *zły, do Włodka.*

Ależ... *Do Frania:* Mów jeszcze Franiu...

FRANIO *zbity z tonu.*

A cóż Bóg nam dawa
Panie Rokita?

ROKITA *z utajonym gniewem.*

Ksiądz ci powie.

WŁODEK.

Ładna sprawa!

FRANIO.

Ja chcę, byś ty powiedział! Mów, co Bóg nam daje?

ROKITA *wstał, do Włodka.*

Zerwałeś wątek myśli... To wasze zwyczaje:
Rwać wszystko!

WŁODEK.

Panie mędrzec, dziecko ciebie pyta
O Boga, więc odpowiedz!

FRANIO.

Mów mi, mów, Rokita!

ROKITA oddając Franiowi pęk kwiatów.

Franiu, weź no te kwiaty i złóż je na stole,
Skrop wodą, by nie zwiędły, dzbanek stoi w szkole.
A wy dziatwa, do ławek, żwawo, dalej, dalej!

Patrzy pod słońce.

Jeszcze czas, jeszcze chwilę będziemy czytali.

Dziatwa tłoczy się do szkoły. Rokita pilnuje porządku.

FRANIO ze zwieszoną główką.

Mam iść zanim odpowiesz?

ROKITA biorąc go za rękę.

No, no, idź dziecino!

Odprowadza go do progu, szybko wraca i mówi do Włodka, kładąc nacisk na każde słowo i bystro patrząc mu w oczy.

Każdy człowiek po kładce sunie nad głębiną.
To głębia pytań. Póki nie widzi jej jeszcze,
Stąpa odważnie. Lecz gdy łuski z oczu spadną,
Nagle wstrząsną nim wrogie przerażenia dreszcze,
Zachwieje się na kładce, zadrży, runie na dno.
Strzeż się nieletnim dziatkom wskazywać przepaści,
Bo to równa się zbrodni!

Wchodzi do szkoły. Włodek wytrząsając za nim palcem.

WŁODEK.

Mamy, mamy waści!

WYGODA.

Co się stało! Raz pierwszy widzę go w tym gniewie!

WŁODEK.

Aha, błysnęło w oczach ukryte żarzewie,
Tuś mi, bratku! Bakałarz kręcić się poczyna,
Niepróżne to z mej strony były egzamina!
Widzicie pana mędrca z krzemionkowskiej szkoły!
Djabelską ręką ty się targniesz na kościoły
I na majestat boży, zacząwszy od dziatwy.
Aleś się przerachował, bój ten nie tak łatwy!

Pauza. Ogólne zakłopotanie. Pani Wygodzina sprząta ze stolika z tłumioną irytacyą i mówi:

WYGODZINA.

Eh, że też organista ma wciąż jakieś fochy,
Bakałarz organiście jakby od macochy,
Cobym się w sprawy szkolne mieszała daremno!
Spieszę do gospodarstwa... Krzysieńko, pójdź ze mną.

Wychodzi wraz z Krzysią.

WŁODEK.

Chociaż się jejmość na mnie zgniewała, ja przecie
Swoje powiem — a potem róbcie jako chcecie.
Dziś bakałarz wam wszystkim pozaprószał głowy,
Lecz to człowiek nieznany, jak to mówią: nowy,
Pilnujcie się, wąż zawsze po wierzchu jest gładki.

WYGODA siadając.

Nic a nic nie rozumiem. Waść prawisz zagadki.

WŁODEK.

Pojmiecie, gdy nieszczęście w wasze drzwi uderzy,
Gdy w przerażeniu włos się na głowie wam zjeży,
Gdy z rozpaczy garściami będziecie go rwali
I nad swojem ojcowstwem we wstydzie płakali,
Gdy z waszą córką...

Urywa, macha ręką i wychodzi. Wygoda zrywa się.

WYGODA.

On jest głupi! On jest głupi!
Głupi! Co mi on tutaj za morały łupi!
Widzicie go! Mądrala! A zasię! A łyku!

WYGODZINA w ganku

Mężu, cóż to za zajście??

WYGODA.

No, no, już po krzyku.

WYGODZINA.

Jesteś wzburzony... Pójdź no na chwilę rozmowy...
Bo ja tu umyśliłam... przyszło mi do głowy...

Wygoda i Wygodzina znikają w ganku. — Właśnie z za domu Wygody wysunął się Krętacz i mówi do Niji półgłosem.

KRĘTACZ.

Benedekel ubezen Rokit, num uflaim...

NIJA ofuknęła go.

Kasza te, kasza!

KRĘTACZ.

Bazan kende? Kaim, Kaim!

Lezie za szkołę." — W tej chwili staje na ganku Wygodzina, przez moment patrzy za nią Wygoda, porozumiewają się uśmiechem, Wygoda cofa się w głąb. Wygodzina z pończochą w ręku przechodzi do studni i z powrotem, popatrując na Niję, po tych manewrach zbliża się do niej i składa ukłon, na który Nija odpowiada dumnem kiwnięciem głowy, patrząc na Wygodzinę badawczo. Ta poczyna niezmiernie dwornie.

WYGODZINA.

Sąsiadujemy z sobą czasu kawał spory,
Lecz jakoś między nami rzadkie rozhowory,
Jak gdyby nasze domy powiaty dzieliły.
Czy się to godzi? Dłużej nie miałam już siły...
Co to mówią? Gdy góra Mahometa stroni,
To się musi Mahomet fatygować do niej...
Takie miłe sąsiedztwo, tak rzadkie w dodatku,
Tyle umiejętności, rozeznania, statku!
Czemu to jejmość na nasz dom tak niełaskawa?
Bylibyśmy jej radzi!

NIJA bardzo wolno.

Wszakoż mi się zdawa,
Że mój syn — —

WYGODZINA.

Tak... syn łaskaw... zaszczyt ten nam robi...

NIJA.

Nawet — —

WYGODZINA

Istotnie... córkę w naukach sposobi...

NIJA.

Więc — —

WYGODZINA już odzyskała swobodny ton.

Więc kiedy świat poznał uczonego syna,
To się o jego macierz także upomina,
Wszak to proste! A zresztą tyle zawdzięczamy
Jej synowi, że nawet obowiązki mamy
Względem niego i względem macierzy! Toć przecie
Mając takiego syna, sami dobrze wiecie,
Że Bóg dał skarb prawdziwy!

NIJA jakby rozważała każde słowo.

Bóg — dał — skarb!

WYGODZINA

Wieś cała
Chlubi się nim i szczerze, szczerze pokochała.
Co to za człowiek! Chyba nikt się z nim nie zmierzy,
A jaki dobry, jaki czuły dla młodzieży!
Połączyć rozum z sercem to rzecz nader rzadka
A chyba lepiej niż ja rozumie sąsiadka,
Że kogo dziatwa kocha...

NIJA.

Dziatwa... hm... w istocie
Ile on cnót posiada! Hm... a w każdej cnocie
Głębia mądrości... Dziatwa! A z dziatwy parobki
A z parobków uczone rozwiną się chłopki,
Będą z całą mądrością orać, siać, żąć, młócić,
Mądrość wielce potrzebna im!

WYGODZINA

Oto się kłócić,
Czy potrzebna, dalibóg to nie moja sprawa,
Lecz przyjmujem z wdzięcznością, kiedy ją nam dawa.

Wreszcie, sąsiadko, na to każdy się już zgodzi,
Że zbytek wiedzy nigdy nikomu nie szkodzi.

Zmieniając ton.

Lecz jakże jejmość wszystko rozbiera surowo
Nie oszczędzając syna! No, no, daję słowo!
Czy tylko ta surowość nie nazbyt krańcowa?
Nie każda matka syna takiego wychowa,
Lecz za to każda dumną byłaby, sąsiadko,
Gdyby jej było dane zwać się jego matką!

NIJA wstając.

Czy i — żoną?

WYGODZINA stropiona.

Co? Jak? Co?

NIJA z chłodnem szyderstwem.

Boć wy córkę macie...

WYGODZINA

Ależ, jeśli sądzicie... Oh, to nas nie znacie,
Tą drogą!... Ah, mniemałam, że obycie gładsze...

NIJA.

Ja nic nigdy nie sądzę, ja jedynie patrzę
A patrząc widzę! — Chyba znam syna swojego
I to wam tylko powiem: strzeżonego strzegą!
Co spada z wiatrem, łatwo spłynąć może z wodą...

WYGODZINA

Jejmość w cennych swych radach tajemną metodą
Posługuje się, treść słów głęboko skrywając.

Ja niestety orężem takim nie władając
Wybiorę wyraz prostszy — prostszy, lecz on tu ma

uderza się w pierś.

Treść statecznie głęboką, wyraz ten brzmi: duma!
Ona czoło nam wznosi do właściwej miary...
A gdy nas ktoś o niskie posądza zamiary,
Gdy szczerość ofiarujem jak prawi sąsiedzi,
Uczy zmilknąć wyniośle, pójść bez odpowiedzi!

Rusza, ale zatrzymuje się na słowa Niji.

NIJA.

Strzeż się dumy, bo rzuca ślepotę na oczy!
Płochym motylom wiosną każdy kwiat uroczy,
Z każdego miód wyssają, ale też przy żadnym
Nie zabawią, folgując swym skrzydełkom składnym.
Los plątaninę nieraz urządza zawiłą —

Przystępując, dobitnie:

Więc by potem przypadkiem — zapóźno nie było!

Wchodzi do szkoły. Wygodzina z ręką u skroni stoi jak rażona gromem. Zbiera myśli.

WYGODZINA

Zapóźno? Więc już jest coś, czegom nie dojrzała,
Co się dzieje tu, tu, tu... Ależ to bez mała
Rekuza i pogróżka!... Czyżby??... Jezu Chryste!

Krzysia podbiega do niej z ganku.

KRZYSIA.

Matuchno!

WYGODZINA

Pójdź tu! Chwyta ją za rękę.

Spojrzyj mi w oczy! Nie — czyste!
Słuchaj, Krzysiu, tych nauk, które pan Rokita
Udzielał tobie, chyba było już do syta,
Jesteś w tym wieku...

KRZYSIA.

Ależ matko...

WYGODZINA

Powiedziałam.
Od dziś dnia przestaniecie. Już — podziękowałam.
Marsz do ojca!

Popycha ją na ganek.

Przez chwilę można lata przeżyć!

Zatrzymuje się, patrzy w górę.

Jest mi tak, jakby w dom ten miał piorun uderzyć!

Znikają z Krzysią w ganku. Równocześnie na progu szkoły stanęła Nija i śmieje się szyderczo za Wygodziną, siadając na swym stołku przy ścianie i otwierając foliant. Ze szkoły wychodzi Rokita z kwiatami w ręku, za nim Franio. Stają przy studni.

ROKITA.

Niema wody w dzbanuszku? Damy sobie radę,
Zaczerpniemy ze studni, malutki. Czerpie.
Tak blade
Twe czółko dziś. Czyś chory?

FRANIO.

Nie...

ROKITA.

Potrzymaj kwiatki,
Spryskam je wodą. Pryska. Franiu?

FRANIO.

Słucham.

ROKITA.

Poproś matki,
Aby dziś do mnie zaszła.

FRANIO.

Kiedy?

ROKITA.

Tak z wieczora.
A teraz idź.

Franio bierze kwiaty i odchodzi do szkoły.

Dziecina doprawdy jest chora.
Lękam się, czy mi wiedza środków nie odmówi.

Po chwili.

Matko, a jakich ziółek dałabyś Franiowi?

Pije z wiadra.

Ah, co za woda!

Krętacz wyłazi z za szkoły z ligawką w ręku i sunie ścieżką w zarośla. Rokita popatrzył za nim niechętnie i mówi:

Znów ten pachoł! — Skąd ty wzięłaś
Tego koślawca??

Nija poruszyła się gniewnie na stołku, ale nie odpowiada. Rokita rozgląda się.

Krzysi niema?...

Patrzy w górę. Po chwili.

Z nieba płynie
Istny żar, żaden powiew nie zadrży w gęstwinie,
Cisza... Błękitów chmurka najlżejsza nie plami
I tylko słońce w swoich ogniach gra nad nami.

Siada na studni. Zamyśla się.

Kłamałaś, matko! Ziemia warta jest kochania
I dusza ludzka ku nam miłośnie się słania,
Lecz trzeba ją jak księgę tajemniczą czytać
I o znaczenie słów jej nieraz serca pytać.:
Wreszcie trzeba na kartach jej niezapisanych,
Nietkniętych a do życia już nagotowanych
Skreślić coś z siebie, część swej własnej duszy włożyć,
Ożywić ją i wzajem przez nią znowu ożyć!
A jaka mi z tej księgi tajemnicza siła
Płynie... Nie, matko, tyś mi prawdy nie mówiła!

Po chwili.

Trzy wiosny już się puchem kwiecia osypały
A z gór aż po niziny przebiegłem kraj cały.
W kamiennych miastach z wiedzy krynicy czerpałem,
Wszystko, co umysł zbadał, raz wtóry zbadałem,
Wszystko, o co myśl pyta, pytałem raz drugi
Wzywając wątpliwości wszystkie dla posługi
I zbrojny tak zaszedłem tu w ten kąt prostaczy —
Ale, matko, inaczej wszystko tu, inaczej!

Po chwili

Kto w ludzkich sercach będzie siał osty i głogi,
Ten zaiste nawzajem i plon zbierze wrogi,
Potem, ręce kalecząc, przeklnie świat i siebie
I w mroku samotności resztę dni pogrzebie.
Lecz jest siew inny, o, jest! I ja go poznałem
I pierwsze jego ziarna już w dusze posiałem
I lekko mi, och, lekko! I nie wiem zaiste,
Czy życie może stać się bardziej promieniste!
Każdy kwiat ludzki wonią wdzięczności mnie darzy,
Słońcem mi każdy uśmiech na bliźniego twarzy,
Każde ściśnięcie ręki jak promień przenika,
Że mi to życie w koło brzmi niby muzyka! —

W krzewach odzywa się cicha gra ligawki.

O dniu złoty z koroną słoneczną na niebie
I w płaszczu barwnych kwiatów, błogosławię ciebie!
O ty ziemio z zasłoną zieleni u łona,
Wciąż twórcza i darząca — bądź błogosławiona!
Wy drzewa niby druhów szereg dumający,
Wy dale, które pieści słońca promień drżący,
Zmieniając w malowidło mistrza natchnionego,
Ku wam źrenice moje jak dwa orły biegą!
Wszystko mi gra jak dźwięk ów ligawki pastuszej...
Ziemio, ziemio! Ażaliś tylko snem mej duszy?...

Po chwili.

O piękny śnie, o cudne mej duszy marzenie!
Nie, to nie sen znikomy, to jak objawienie!
Bo nietylko tę ziemię, gór widmowe wianki,
Lecz otrzymałem więcej — ach, serce ziemianki!

Rozpamiętywając, coraz namiętniej.

Obróciła w twarz moją swoje tęskne lice
I w pół drogi się nasze spotkały źrenice,
Potem koło mej szyi oplotła ramiona,
Płacz szczęścia pierś jej wstrząsnął a ja u jej łona
Owisły... Nie, z rozkoszy myśl w głowie się mąci — —

NIJA wstając, silnie.

Ludzkich praw nie zrozumiesz i świat cię odtrąci!

ROKITA jakby się budził.

Ludzkich praw??

NIJA.

Ty pogwałcisz je, o bezrozumny!
Póki czar pierwszy rwie cię niby potok szumny,

Płochą myślą wyzłacasz jego zdradne wody,
Ale gdy przejrzysz, wtedy, marzycielu młody,
Własną dłonią rozwalisz wzniesioną budowę
I tylko gromy świata padną na twą głowę!
Tyś im obcy i próżne zabiegi, szaleńcze!
W otchłań zguby porywy niosą cię młodzieńcze,
Głuchy jesteś na matki dojrzałe przestrogi
I w zaślepieniu kresu nie widzisz tej drogi,
Po której kroczysz! Gorzko zapłaczesz na końcu!
Jadowite promienie świecą w onem słońcu
I wieniec każdy jak wąż pierś twoją oplata!

ROKITA wciąż zajęty jedną myślą.

Ludzkich praw?? Tu jest prawo pisane dla świata!

Uderza się w pierś.

NIJA.

Tu, och, tu, wszystko tu, tu, u ciebie, szalony,
Świat, ludzie, ich zabiegi, ich siejby i plony!
Ten kołatek, co puka w twojej piersi młodej,
Wpadł w ich sidła... Czekają gorzkie cię zawody!

Patrząc dokoła.

O jakże mi jest wstrętne to prostacze plemię,
Które niby robactwo obsiadło tę ziemię!
Kiedy na dom ten patrzę, na drzewa w około,
Wszystko wzdryga się we mnie! Gardzę ich mozołą,
Gardzę ich dążeniami, ich znojem się brzydzę
I wszędzie pełzającą podłość jeno widzę!

ROKITA zrywając się.

Matko, tyś straszna!

NIJA.

Słuchaj, znasz ich obyczaje?
Czy możesz dać im z siebie to, co każdy daje,
Nie zniżając się myślą aż do ich poziomu?
Orzeł chce jak jaskółka słać pod dachem domu
Gniazdo! — Lecz ty masz szpony, tyś drapieżnym ptakiem
I myśl twoja podniebnym raz pomknąwszy szlakiem
Do wiejskiej klatki wrócić już nie będzie chciała!
Z gromadą wróbli jastrząb chce żyć! Ha, bez mała
Ja z tobą oszaleję! —
To, co dzisiaj bawi,
Co czaruje, w twych oczach jutro się splugawi,
Co dziś prostotą, jutro prostactwem ci będzie!
Skrzydłem o grzędy ludzkie uderzysz w zapędzie
A widząc, żeś jest więźniem, że cię świat ten dławi
I szarpiąc pęta ludzkie będziesz rwał się krwawiej,
Niż...
Ale ziemia, która tak cichą się zdawa,
Tak poddaną, posiada niewzruszone prawa
I gdy kamień obrazy rzucisz do jej duszy,
Ona jako lawina przeciw tobie ruszy!
I ty, coś mniemał, żeś był jej błogosławieństwem,
Ujrzysz z rozpaczą, żeś był tylko jej — przekleństwem!

ROKITA gwałtownie.

Dość!

NIJA.

Ale jeszcze pora! Otchłani krawędzie
Przed tobą! Wróć się! Jutro, kto wie, może będzie
Już zapóźno! Nie igraj z płomieniem, bo parzy!

Czule.

Synu mój, ja wahanie widzę w twojej twarzy,

Pójdź stąd ze mną! Przed tobą świat wielki, szeroki,
Tobie dane wejść na szczyt życiowej opoki,
U stóp twych świat paść mógłby jako u stóp pana,
Tyś władać nim powinien!

ROKITA.

Żali głos szatana
Zręczniej by kusił? Nie, nie! Tu mój świat ogromny,
Tutaj wzniosę mych trudów posąg wiekopomny
W sercach maluczkich! Laur mój kwitnie tu, śród gminu,
Choć wzrok twój go nie widzi!

Wbiega do szkoły.

NIJA kiwając za nim głową.

O synu mój, synu!

Opiera czoło o odrzwia. Po chwili otrząsa się, przykłada palec do czoła i mijając studnię idzie w zarośla. — Tymczasem ukazali się na ganku: Pan Wygoda i pani Wygodzina; ta kończy ubierać się do wyjścia. Rozmawiali żywo, ale na widok Niji umilkli.

WYGODZINA

Czekaj, mężu, pss... ona! Właśnie studnię mija...
Ach, te bliskie sąsiedztwa! Wciąż się ktoś przewija,
Ani chwili swobody, ani jednej chwili,
Że też nam tu przed nosem tę szkołę stawili!

WYGODA.

Tu trzeba prędko działać, prędko! Wielki Boże,
Człowiek nigdy wszystkiego przewidzieć nie może,
Ani jest dość ostrożny. Lecz tego się boję,
Czy go nie uraziły nadto słowa moje.

WYGODZINA.

Eh, między przyjaciółmi starymi to wiele
Uchodzi. Zresztą drogę do zgody uścielę.

Podchodzi do okna.

Krzysiu, a pilnuj domu, za próg ani kroku,
Pamiętaj, moje dziecko!

Do męża.

Wszak oni od roku
Zaręczeni. Toż Włodek dziś o zapowiedzie
Upominał się.

Do okna.

Krzysiu, więc lekcyi — nie będzie.

Do męża.

Najlepiej, gdy się wszystko raz, dwa, trzy wyrówna.
Jaś jak kot zakochany, no a to rzecz główna.
Zaręczam, że aż nadto radzi mi tam będą.
Krzysia zaś — jest posłuszną.

Wychodzi. Wygoda idzie za nią kilka kroków, staje, patrzy na szkołę, wznosi pięść i mruczy:

WYGODA.

Żebyś ty przybłędo
Z piekła nie wylazł!

W szkole gwar. Wygoda spluwa i wychodzi, kierując się za swój dom. Po chwili ukazuje się na ganku Krzysia z książką w ręku; ogląda się, czy jest sama, potem siada pod lipą i czyta. A tymczasem ze szkoły wybiegają z hałasem chłopcy. Rokita ukazuje się w oknie.

ROKITA.

Wolno, chłopcy, wolno, wolno!
Hej, Jędruś, a pohamuj niewczesne zapały!

JĘDRUŚ.

Ignaś mnie pchnął!

IGNAŚ.

Nieprawda!

JĘDRUŚ grożąc mu.

Ty!

KUBUŚ wsadzając Jędrusiowi kapelusz na uszy.

Ej, weźmiesz wały!

ROKITA.

Co tam! Znika w oknie.

KUBUŚ.

Bakałarz idzie!... Dalej, chłopy, w nogi!

CHŁOPCY.

Wiwat! Rozbiegają się.

ROKITA w progu szkoły.

Tylko się kurzy za nimi śród drogi!
Powoli, hej, powoli!

Do okna.

Czekaj, Franiu mały,
Bo mi się tam chłopaki nadto rozbrykały.

Spostrzega Krzysię, drgnął, wpatruje się w nią z nieopisaną miłością. Ona, czując go za sobą, jest silnie zmieszana i pochyla twarz niżej nad książką. Rokita staje za nią i opiera się o pień lipy.

Gdy żar dokoła, pilna moja uczennica
W zimnych kartach pogrąża ukochane lica?...
Czytajmy więc. Wzdycha. Czytajmy...
Kto z nas się tu mami?...

KRZYSIA szukając w książce gorączkowo.

Nie mogę znaleść... wszystko lata przed oczami...

ROKITA.

Ja odnajdę.

Bierze książkę z jej rąk i kładzie na ławce.

Posłuchaj klechdy...

Jest gdzieś w dali
Świat odległy, gdzie żadna jasność się nie pali,
Żadna iskierka w oczach istot się nie mieni,
Gdzie nadzieje uwiędły jak liście w jesieni
I wszystko pogrążone w bezdennej pomroce...
Tam był — duch... Wytrącony w te okropne noce
Spojrzenia słał z rozpaczą w dal... I pytał mroku,
Czy nigdy świt się w jego nie odbije oku,
Czy ciemność wypełniła przestrzenie bez końca?
Wtedy... hen, hen daleko, niby gwiazdka drżąca
Zabłysło coś... On spojrzał i skrzydła strzeliły
Z jego ramion, wypłynął z tych mroków mogiły
Za tym blaskiem... A blask ów rósł przed nim i jaśniał,
Rozszerzał się i tęczy kolorami kraśniał,
Aż w cały świat się zmienił! —

Spojrzyj na te drzewa,
Na to wszystko, co w koło mieni się, drży, śpiewa,
Nie lęka się pomroku, bo wie, że noc wszelka
Kończy się wschodem słońca... Patrz, ta rodzicielka,
Ta ziemia: ona była tylko plamką nikłą,
Punkcikiem tylko, kiedy w mroku wszystko znikło!
Ona temu duchowi urosła w glob cały,
W tych gór łańcuchy, w nieba błękitne powały,
W łanów złote przestwory, w łąk zielone płaty,
W miast gwarne mury, w ciche wioskowe zaświaty,

Gdzie dym spokojną wstęgą wije się nad strzechę
Pielgrzymowi gościnność wróżąc i pociechę,
Gdzie Jutro, wielkie Jutro stworzeniom najlichszym,
Gdzie Przyszłość, Przyszłość świta najmniejszym, naj-
cichszym —
Tu ten, który był duchem, uczuł się człowiekiem,
Umarły — będzie tutaj znów żył wiek za wiekiem,
Żył, wierzył, czuł i kochał, wraz z wszystkimi dążył,
Po morzu bytu niby korab szczęścia krążył
I ludzkość jak kochanek brał w czułe ramiona, —
A jeśli kiedyś u stóp tej kochanki skona,
Pozostawi myśl-dziecię, następcę, sternika,
Który ten Korab świata — —

Urywa i kryje twarz w rękach.

KRZYSIA upojona.

Jak cudna muzyka
Brzmią jego słowa...

ROKITA.

Słuchaj... tam... obok sternika
Jest jedno miejsce — puste... Sternik dal przenika,
Lecz z niepokojem oczy w tę stronę obraca,
Znój oblał jego czoło, znużyła go praca...
Kto go pokrzepi? Kto mu głowę umęczoną
Do snu kołysać będzie? Powiedz, czyje łono
Dla tego ptaka puchy po wzlotach rozściele?

Z ogniem.

Kochaj mnie! Tu w sklepionym błękitów kościele
Zawrzyjmy ślub... Świadkami będą ptasząt roje
I cienie drzew!

KRZYSIA *zrywając się.*

Ah, nie, nie... nie mów... ja się boję,
Tyś tak straszny, gdy oko zabłyśnie pożarem...

ROKITA.

Moją jesteś — przed słońcem — przed tych gór obszarem —
Błękitem — ciszą świętą!

KRZYSIA.

Lecz jam zrękowiona
Z innym!

ROKITA.

Z innym?! Czy inny u twojego łona
Tulił skronie? Z ust ogień pił? Drżące twe ciało
Obejmował i posiadł z miłości omdlałą?

KRZYSIA.

Puść mnie! Żar bije z twarzy!

ROKITA.

Nadaremne trwogi,
Myśli twe już wybiegły po za wszelkie progi,
Stajesz obok sternika na korabiu świata,
Dusza twa z jego duszą już się w uścisk splata,
Niech więc i ciała w jednym uścisku się złączą!

W krzewach ukazuje się Kręciaez, grający na ligawce.

KRZYSIA.

Serce bije gwałtownie... myśli mi się plączą...
Luby mój, tyś mi panem i bratem pospołu!

ROKITA.

Jak para orlich ptaków wybiegamy z dołu
Na wyżyny! Wzrok kręgi zatacza dokoła,
Wchłania świat, już go wchłonął... Cała przestrzeń woła:
Do lotu!... Taka chwila — to jest: uniesienie!
Leć ze mną tam, gdzie rozkosz, tam, gdzie upojenie!

Powoli światło dzienne zamienia się na nocne, księżycowe. Wszystko znika, tylko oni, spleceni uściskiem, świecą w zielonym obłoku.

KRZYSIA.

W twoim uścisku ziemia zniknęła mi z oczu...
Płynę w przestwór po jakiemś marzenia przezroczu...
Świat, ludzie — wszystko znikło... Cudne słyszę pienie...
Oh, nieś mnie tam, gdzie rozkosz i gdzie upojenie!

Mroczy się. Na chwilę zapada zupełna ciemność. Milknie głos ligawki. A gdy się rozjaśnia, znowu słoneczne południe jak pierwej. Tylko ich niema. A w miejscu, gdzie stali, Krętacz zatacza ligawką koło po ziemi i pierzcha w zarośla. W progu szkoły pojawia się Nija z ręką u czoła, jakby kogoś niespokojnie szukała. Wchodzi pospiesznie Pani Wygodzina, woła w okno domu: »Krzysiu!« Następnie wchodzi przez ganek. Słychać jej szybkie kroki po domu i nawoływanie: »Krzysiu!« Wybiega przed ganek, patrzy w dal za dom z ręką u czoła, znowu woła z niepomiernym niepokojem: »Krzysiu!« W oknie szkoły ukazuje się Franio i woła żałośnie:

FRANIO.

Rokita!... Wszystkie twoje kwiaty nagle
Powiędły...

Koniec aktu drugiego.

AKT TRZECI.

OSOBY AKTU TRZECIEGO:

ROKITA.
KRZYSIA
NIJA.
KRĘTACZ.
FRANIO.
DUCHY DWÓCH SIEROT.
PANI WYGODZINA.
PANI WŁODKOWA.
PANI WÓJCINA.
LUD.

Cicha, złotolistna jesień, pełna pogodnej melancholii. — W głębi stary, drewniany, poczerniały od szarug kościół, osłonięty lipami, kasztanami i drzewami octowemi. Dokoła kilka omszonych ławek kamiennych. — Po lewej oficyna szkoły. Ściana pokryta winogradem, który już poczerwieniał; okno otwarte; przy ścianie ławeczka. — Po prawej toczy się rzeka gwarliwym prądem. Brzeg zarosły wiklinami, śród których kryje się młyn, zatrzymany z powodu święta. Dokoła majaczeją góry. — Niebo czyste, bez chmurki. W powietrzu unosi się babie lato. Z drzew kapie złoto i czerwień. — W kościele gra organ i rozbrzmiewa chóralnie pieśń suplikacyjna: »Święty Boże!« — Przez scenę przechodzi Krętacz; posępny, zły, bardzo zły; utyka ku szkole; wszedł, zatrzasnął za sobą drzwi a po chwili zamyka od wewnątrz okno. — Po niejakim czasie słychać w wiklinach cichy, jakby zaświatowy jęk. Wychylają się widmowe postaci dwóch sierotek, między któremi sunie Franio; oczy szeroko otwarte, w twarzyczce jasnowidzenie.

FRANIO.

Siostrzyczki blade, fiołków już niema —
Szukałem długo!
I tych niebieskich niezabudek niema,
Które się słały po łączce nad strugą.
Takie kwiatuszki słońce już spaliło,
Tylko się krwawią jeszcze w polu głogi —
A nad samotną sierotek mogiłą
Czyliż rozpinać cierń?...

SIEROTA 1 ledwie słyszalnym jękiem.

Rozpinać... ciernie...

FRANIO.

Więc nie mam dla was nic — tu, na murawę
Popatrzcie — niema!

SIEROTA 1 popatrując.

Niema — nic!

SIEROTA 2 tak samo.

Nic niema!

FRANIO.

A wy wciąż za mną jak obłoczki mgławe
Ulatujecie błagając oczyma — —

SIEROTA 1 zbliżając się ku niemu.

Tak — tak!

FRANIO.

Czy jeszcze błąkać się potrzeba,
Wzbijać ku niebu i wracać od nieba?
My biedni — —

Jakby wpadł na myśl szczęśliwą, tajemniczo:

Ale powiejcie za góry,
Tam stoi zamek, pan mieszka bogaty,
On złotolite zakupi ornaty,
Każe zapalić sto gromnic w klasztorze — —

SIEROTA 1.

Nie — nie...

SIEROTA 2.

Och — słuchaj!

SIEROTA 1.

Słuchaj!

FRANIO.

Do cmentarza
Matula wzbrania i nieraz wydwarza,
Ale — nie — —

Papatruje na jedną i na drugą.

Ja się nie boję...

SIEROTA 1.

Ty — nie!

SIEROTA 2.

Nie!

FRANIO.

Tylko tak dziwne nosicie zawoje...

SIEROTA 1 chwytając go za rękę.

Dotknij...

FRANIO wzdrygnął się.

Wy takie zimne...

SIEROTA 1.

Rzeka chłodna,
Była tak chłodna...

SIEROTA 2.

Oh — spiesz!

SIEROTA 1.

Tam organy —
Kościół — nie możem jeszcze pod te ściany —
Ty idź — —

SIEROTA 2.

Oh — ty idź!

SIEROTA 1.

Dwie łezki w kościele,
Dwie łezki uroń — dwie łezki — niewiele —
Za — Krzysię!

Znikają. — Franio zachwiał się, idzie jeszcze kilka kroków i pada przed kościołem twarzyczką na murawę. — Po chwili z za szkoły wychodzi wolno Nija, popatrując wciąż w lewo i w prawo obok siebie po ziemi, jak gdyby wszędzie widziała coś szczególnego. Zatrzymuje się przed Franiem, chyli się nad nim i dotyka go kijem.

NIJA.

Wszystkie kwiaty powiędły...

Franio budzi się, dźwiga na kolana. pociera czoło, rozgląda się nieprzytomnie.

Jakie kwiaty??...

FRANIO.

Kwiaty —
Sierotki — ja nic złego nie chciałem — ja z chaty
Do kościoła — pomodlić się — za Krzysię — —

NIJA odwracając się.

Zwiędły...
Rosą błagania nie ożywić wiosny
Umierającej...

Rozgląda się.

Już żgło jej uprzędły
Tłumy pająków na krosnach jesieni —
Co jęk żałosny!

Do Frania.

A — ty??

FRANIO.

Gdzie jest kościół?...
Ja muszę — iść tam...

Wstaje, rozgląda się, jakby szukał, trafia ręką o ścianę kościoła, wchodzi. — Nija patrzy za nim.

NIJA.

To Ludzkość!...
Schorzałą twarzą szuka drzwi kościoła,
Nękana widmami swemi!...
Że też to żyje i jeszcze się pleni!

Rusza naprzód, staje, próbuje stopą.

A tu — dokoła
Po ziemi
Szelest jesienny — a niżej pokłady
Szkieletów...

Patrzy po drzewach.

Ile złota i czerwieni
Wdziewa na siebie on schorzalec blady
Nazwany Światem!

Duma. Wznosi rękę ku górom.

A motyl spóźniony
Wzleciał ku górom... Motylu szalony!
Jesień już idzie a sieć dzierży w dłoni,
Zawinie jeno w powietrzu — —

Urywa. Na twarzy jej pojawia się ogromna żałość.

Motylu!...
Ani jutrzenka różowemi blaski
Barwiła twoje skrzydełka,
Ani je złote obsypały piaski,
Ani je tkała mgiełka —
Ale powstały z nocy nieprzebranej,
Gdy księżyc rudy na pełni wyzierał,
Gdy wicher zwiędłych liści gnał tumany
I świat w ciemnościach przymierał...

Znika z jej oblicza żałość. Twarz posępnieje. Chyli czoło ku ziemi.

Co?... A tam ciebie sklepienie uciska?...
Walisz w nie?... Słucham... Co??

Jak gdyby słuchała głosu podziemnego.

Nic — nic nie słychać...
Burza organu wstrząsa ludzkim światem...
Próżno ząb zgrzyta, ślepie krwawo błyska
I twarz się zlewa szkarłatem...
Idź, wracaj jęczeć, ty wściekły, i wzdychać!
Sieć nastawiona, ptak w ćmę się zamienia,
Po górach lekkie unoszą go tchnienia,
Wnet już, wnet — —

Patrzy nagle w stronę kościoła i szybko rusza ku szkole. Uderza w drzwi.

Hej ty, pachoł!
Aha — głuchy!
Wicher tej pieśni mrozi krew...

Krzywi twarz gorzkim śmiechem, siada na ławce i kiwa głową ku szkole.

Te duchy
Słabe tak, rzekłbyś — ludzie... że czasami
Niema się gdzie obrócić ze swemi myślami!

Z kościoła wychodzi Pani Wygodzina, blada, bliska omdlenia. Za nią dążą: Włodkowa i Wójcina.

WŁODKOWA.

Na Boga, sąsiadeczko, co się z wami dzieje?

WÓJCINA.

Sąsiadeczko!

WYGODZINA.

Nic, nic, nic...

Opada na ławkę.

WŁODKOWA podtrzymując ją.

Ależ ona mdleje —
Wody, wody!

WÓJCINA.

Pobiegnę, może kto jest w szkole — —

WYGODZINA ze wstrętem.

Nie do szkoły, nie!

WŁODKOWA wyciągając szybko chustkę i podając Wójcinie.

Bierzcie — zbiegnijcie do rzeki...

NIJA.

Wszystkie kwiaty powiędły!...

Odchodzi za szkołę, popatrując ku Wygodzinie i Włodkowej. — Wójcina biegnie z chustką do rzeki.

WŁODKOWA.

Rozłożym na czole
Mokrą chustkę... Oh, nie brak wam jeszcze opieki!

Pani Wygodzina poczyna płakać.

No, no, no, sąsiadeczko! A któż to tak szlocha?
Gorąco rozebrało sąsiadeczkę trocha,
Rozepnę stanik...

Oj, tak! Bóg krzyżyki zsyła,
Lecz na to niema rady, sąsiadeczko miła,
Zmóżcie się, zmóżcie!

WYGODZINA po chwili ponuro.

Ten śpiew — granie organowe —
Myślałam, że sklepienie runie mi na głowę...

Od rzeki nadbiega Wójcina; rozkłada mokrą chustkę na czole pani Wygodziny.

WÓJCINA.

O tak, tak, to wam ulży.

WYGODZINA po chwili.

Czy — czy... ona... była
W kościele?

WŁODKOWA porozumiawszy się spojrzeniem z Wójciną.

Pewnie była, jakżeby nie była?
Ależ — na pewno była! Tak... tak... pod amboną
Siedziała w ławce z książką... A i on był pono..
Obok siebie... przykładnie... A nawet klęczeli...

WYGODZINA.

Toście kogo innego napewno widzieli.

WŁODKOWA.

Co też mówicie!

WYGODZINA.

On?? Nie!... Oh, jam go przejrzała...
Ale ona! Toż tak się strzegło jej od mała —
Sami wiecie — jedyne, wypieszczone dziecię,
Nasza pycha! — że gdy wasz syn się o nią starał — —

WŁODKOWA.

Ależ — —

WYGODZINA.

I za tę pychę srogo nas Bóg skarał!

Włodkowa ociera oczy ukradkiem.

Ten wstyd!... Tak jawnie... jawnie... tak na oczach świata...
Boże!

załamuje ręce.

WŁODKOWA ściskając ją.

No, sąsiadeczko!

WYGODZINA rozczulona.

Dziwnie się to splata,
Że właśnie wy...

Chyli się ku jej ręce.

Pozwólcie...

WŁODKOWA broniąc się.

Co to? Moi mili,
Moi zacni! No!

WYGODZINA.

Ciężko myśmy was skrzywdzili!

WŁODKOWA.

A to jakim sposobem? Że to naszych dzieci
Nie udało się złączyć? Każda ptaszka leci
Za swem słoneczkiem. Siłą serca nie ułowi —
A zresztą, co się równać z nim memu Jasiowi!

WYGODZINA.

Wy ich jeszcze bronicie!

WŁODKOWA.

Młodość nieraz grzeszy,
A potem — eh, źle robi, kto się z sądem spieszy!
Da Bóg, wszystko się jeszcze na dobre obróci...

WYGODZINA.

Skąd się w onym gołębiu wylęgły te chuci!
Skąd ona wzięła czoło?... Wszakże dzisiaj dla niej
Świat — nic!... i ludzie — nic!... i my stroskani
Nic! Nic!

Wójcina odciąga Włodkową, wskazuje na góry. Obie są silnie zaniepokojone.

Cały świat powie, że złą matką byłam,
Gdy nie ustrzegłam córki... Wszakoż ja robiłam,
Co mogłam... ja... przysięgam!

Wybucha płaczem.

Ale cóż ja mogłam?!
Bóg wyostrzył jej rozum i dał bystrość sądu,
Że jej myśli do rzeki burzliwego prądu
Przyrównać, który zwala tamy i zapory,
Ciasno mu w górach, w świata odbiega przestwory —
A my jak one skały siedzące tam rzędem
Patrzym oszołomione onej rzeki pędem...

W górze na stoku skalnym ukazują się: Rokita i Krzysia. Ona wsparta na jego ramieniu, szczęśliwa, promieniejąca. On wpatrzony w nią jak w obraz wiosny. Rozmawiają ze sobą uśmiechami.

WŁODKOWA do Wygodziny.

Sąsiadeczko kochana, wstańcie... za chwileczkę
Pewnie wyjdzie... procesya... proszę sąsiadeczkę,
Odejdźmy stąd... a wrychle...

WÓJCINA.

Tak... przystojniej będzie...
Niech was ludzie nie widzą... Staniem na uboczy...

WYGODZINA przestaje płakać.

Ludzie??

Powstaje szybko i rusza.

Ja nie mam prawa patrzeć ludziom w oczy!

Odchodzą za kościół. — Rokita i Krzysia zbliżają się.

ROKITA.

Widzisz ten siniejący grzbiet skalny na przedzie?
Jak on się od lazurów odcina wspaniale!
Czekaj —

Staje.

Słyszę wyraźnie...

KRZYSIA.

Co słyszysz, jedyny?

ROKITA.

Poświst skrzydeł — patrz, patrz tam na błękitne dale,
O, kołuje nad nami!

KRZYSIA *w zachwycie.*

Orzeł!

ROKITA.

Śród głębiny
Powietrznej pióra siwe roztacza — zawisnął —
Widzisz, widzisz, jak w słońcu wspaniale zabłysnął —
Co za lot!

KRZYSIA *patrząc mu w oczy.*

Czy to brat twój młodszy?

ROKITA *uśmiechnął się.*

Brat... Uściskaj!

Krzysia zawisa na jego szyi. Po chwili wyciąga rękę w stronę orła i woła:

KRZYSIA.

Spłyń w dół, o szaropióry, a w słońcu nie błyskaj,
Bo mi brat twój uleci z ramion pod strop świata
A twa siostra ziemianka i nie jest skrzydlata!

ROKITA *sunąc naprzód.*

Oh, tu inny braciszek płochą barwą błyska — —

Chwyta motyla.

Ah, to ty, trupia główko? Przy słonka promyku
Nie lękasz się uwijać za mną, żałobniku?
Czego żądasz odemnie?

Do Krzysi.

Przypatrz mu się zbliska,
W nim dusza filozofa pokutuje.

KRZYSIA.

Dusza?
Filozofa? Pokuta lekka i przyjemna,
Ssać miód z drzew i wciąż fruwać!

ROKITA.

Skrzydełkami rusza — —

Popatrzył na orła i na motyla.

Którego woli Krzysia?

KRZYSIA padając mu na szyję.

Pocałuj!

ROKITA.

A teraz —
Kogo pocałowałaś: orła, czy motyla?

KRZYSIA.

Ziemianina!

ROKITA.

Pocałuj!

Toną w pocałunku. Rokita ukazuje nagle w górę.

Zniknął już — —

KRZYSIA.

A motyl
Pozostał?

ROKITA.

Nie — filozof!

KRZYSIA.

Lecz nim minie chwila,
Znów się w ciemnobarwnego przedzierżgnie motyla?

ROKITA.

Czy — orła?

KRZYSIA.

Daj ust!

Znowu toną w pocałunku. Rokita upojony wskazuje dokoła.

ROKITA.

Prawda, jak dziś jest wspaniale
Na świecie? Mów, że prawda!

KRZYSIA zawisa na jego szyi.

Prawda!

ROKITA.

W tym upale
Wszystko ma światłość, każdy liść promieniem strzela!

KRZYSIA.

Ach!

ROKITA.

Co tobie? Co?

KRZYSIA.

Przecież to dziś jest niedziela!
Grają w kościele — słuchaj!

Oboje wsparci na sobie wychylają naprzód głowy i wsłuchują się. — Właśnie przebrzmiewa pieśń suplikacyjna i słychać tylko organ.

ROKITA.

Wiesz — i to wspaniałe — —
Wspaniałe — jak szum łanów, gdy zbliża się burza
I grom gada z chmurami...

Lecz wolę te wzgórza,
Te skały nieme, dziwnie spiętrzone w przestworze...

KRZYSIA *Pociągając go za sobą.*

Pójdź, nas tu niepowinni widzieć o tej porze!

ROKITA.

Niepowinni??

Pomyślał i machnął ręką. Znowu pomyślał i uśmiechnął się. Krzysia patrzy mu w oczy.

KRZYSIA.

Ty — o czem myślałeś w tej chwili?

ROKITA.

Eh...

KRZYSIA.

Mów mi wszystko!

ROKITA.

Prawda, jak dusze ich małe?

KRZYSIA.

Cóż oni temu winni? W mroku się zrodzili,
W mroku żyją!

ROKITA.

Wiesz — dziwne! Czyżby to tak było??
Dawniej serce mi żywiej na ich widok biło —
Lecz odkąd my tak razem — wiesz — ja zapominam
O nich zupełnie!

KRZYSIA z uśmiechem.

To źle!

ROKITA również z uśmiechem.

Źle!?...

KRZYSIA.

O, bo zaczynam
Przypuszczać, że to przy mnie orzeł skrzydła stracił
I zmienił się w motyla...

ROKITA.

Czy duszę wzbogacił?...

KRZYSIA.

Lecz tem bogactwem już się z światem tak nie dzieli!

ROKITA z lekką niechęcią.

Chodźmy...

Doszli do szkoły. Krzysia usiadła na ławce.

KRZYSIA.

I zaniedbałeś trochę w szkole dzieci.

ROKITA patrząc po zczerwieniałym winogradzie.

Ty mnie wyręczasz.

KRZYSIA.

Cóż — ja! Czy z mej duszy strzeli
Blask tych myśli i tak ich ciemnotę rozświeci? —
Oh! Jeśli się poświęca tyle i jeżeli
Nie da się w zamian światu — —

ROKITA przerywając jej.

Wiesz co — czas tak leci —
Doczytam oną księgę...

KRZYSIA patrząc w górę.

Idź, idź...

ROKITA na widok zbliżającej Niji.

Ah — tam kroczy
Matka — zostań tu z matką...

Siląc się na uśmiech.

Dobrze, dziecko drogie?

KRZYSIA z odcieniem melancholii.

Dobrze — dobrze...

ROKITA.

Ta książka! Skończyć jej nie mogę!

Chce wejść do szkoły, ale przekonawszy się, że drzwi zamknięte, obchodzi na około. Nija, która przypatrywała się zdala tej scenie, zbliża się teraz i mówi jakby do swoich myśli.

NIJA.

Wszystkie kwiaty powiędły... Kędy zwrócić oczy,
Wszędzie zwiędły...

Krzysia patrzy na nią, wstaje z ławki niespokojnie. Nija mierzy ją przenikliwym wzrokiem.

Nie widzisz??

Krzysia przysiadła znowu, odwraca się bokiem. Nija zaś mówi przed siebie:

On także nie widzi...
A jednak — dziecko dojrzy!

Zatapia się w sobie. W tej chwili otwierają się drzwi szkoły, wychodzi Rokita z książką w ręku, czyta idąc i coś nuci. Krzysia i Nija śledzą go. Rokita poczyna machinalnie obracać strony książki, jak gdyby mu się zdawało, że czyta.

ROKITA.

Dla orła świecą u góry
Czerwone gromy śród chmury —
A dla płochego motyla
Róża swój kielich rozchyla...

Leć orle w skalne schroniska,
Gdzie burza gromami błyska,
Róża w światełek koronie
Motyla przyjmie na łonie...

Znika za progiem szkoły.

NIJA.

Nic motyl nie widzi...
Jesień już go oblega swą powiędłą szatą
A jemu ciągle śpiewa utracone lato!

KRZYSIA powstając.

Co przez to rozumiecie?

NIJA.

A jak śpiew ten łudzi
I jak złudzenie pieści!

Obracając się do Krzysi, bardzo wolno.

Wiesz, co dziś do ludzi
Ksiądz powie?

Organ przestaje grać.

Już przymilkły organy... Zaczyna...

KRZYSIA.

Ja was nic nie rozumiem — a tylko mróz ścina,
Ilekroć zagadniecie...

NIJA.

I motyl nie może
Zrozumieć!

Obie jednak obracają głowy ku szkole, bo w tej chwili Rokita otworzył okna i odwracając wciąż kartki książki nuci w zamyśleniu:

ROKITA.

Leć orle w skalne schroniska,
Nie tobie róża połyska...
Motylom słodkie kielichy
I żywot cichy!

Znika w oknie, ale przez chwilę słychać jeszcze jak nuci. Nija śmieje się długo, gorzko.

NIJA.

Tak, nigdy nie uwierzy, póki słońce świeci
I woń odurzająca zalatuje z kwieci,
Że to trwa krótko, że wnet mgły światłość przytłumią
A zwiędłe liście szmerem umarłym zaszumią...
Jesień przyszła, motylu! Wkrótce wiatry świsną,
Na niebie błyskawice jak łuny zabłysną,
Stanie Czas, wielki grabarz, dół wykopie w ziemi — —

Do Krzysi.

Ile wysnułaś marzeń??

KRZYSIA.

Obrazy takiemi
Wy mnie ustraszycie. Co jest w nim i we mnie,
Co zrazu kiełkowało śród duszy tajemnie,
Co wyrosło w krzew silny, zdobi się w kwiat biały
I na koniec już owoc wydaje dojrzały,
Tego nie zwać marzeniem! —

Z ruchem ręki ku szkole.

A że on to krasi
Językiem wiosny — ale idźcie tam, w te chaty,
W te zagrody, gdzie żywie biedny i bogaty — —
Jak się to zwie: niech ludzie powiedzą wam nasi,
A ich mowa jest twarda, twarda jak ta wola,
Co jest we mnie!

Kto ścieżkę nową pośród pola
Chce wydeptać, iść musi, choć o ostrz kamienia
Pokrwawi swoje stopy niekryte... Marzenia!
Być od swoich wzgardzoną jak pies, być wyklętą,
Szarpaną obmówiskiem, nigdy niepojętą,
Znieść to wszystko i wytrwać — jeśli to marzeniem,
To chyba ono słońce w górze jest złudzeniem,
To niebo i ta ziemia!

Siada wzburzona i odwraca się.

NIJA.

Piosnkę wyuczoną
Śpiewasz, ptaszynko!

KRZYSIA.

A czy tutaj w one łono
Dane wam spojrzeć? A czy w tej dali pod skronią,
W tym świecie, oczy wasze myśl wszelaką zgonią,

Że tak śmiało sądzicie? Ażali wy wiecie,
Ile pierwej musiało runąć w onym świecie,
Zanim dusza przejrzała??

Azali mniemacie,
Żem jest niewiasta, której ładu patrzeć w chacie,
To mi się już nie ważyć na lot??!
To przysięgnę,
Że w swojem gnieździe kacząt ludzkich nie wylęgnę
I raczej w takie gniazdo plunę, nim z kokoszą
Dam się zrównać!

Więc idźcie, gdzie to co wy głoszą
Przybrani w komże — bo z ust waszych nic nowego
Nie posłyszałam tutaj.

NIJA.

Inni wnet wylegą
I zakraczą ci piosnkę twych losów!

KRZYSIA.

Niech kraczą
Jako wrony nad padłem, ale się omylą,
Bom żywa!

Choćbym miała teraz z oną chwilą
Odejść stąd w świat nadolny ścieżyną tułaczą,
Nie mieć ojca ni matki, jak ich nie mam teraz,
Choćby mi dom on, w który wstąpiłam nieślubna,
Miał stać się grobem, choćbym ostała zagubna
Z ciałem i z duszą — pójdę! bo mi już nie porą
Nawracać z drogi, bo mi wszystko w okół woła,
Że trzeba iść!

NIJA.

Zuchwała! Omdleje myśl skora
I ramię prędkie! Jeszcze nie wiesz, co to znaczy:
Iść!... Zapytaj jakiego ludzkiego upiora,
Który — szedł! Może jeszcze wyjęknąć ci zdoła,
Jak zwał się słup ostatni jego dróg!...
Zuchwała!
Burze, które tam wieją, zmiatają lataczy,
A — ty??!...

Żali dla ciebie jabym tutaj miała
Sięgać dziobem pamięci w trzewia swe??

Wyciąga rękę — silnie.

Patrz!

Z kościoła wychodzi Franio, zanoszący się od płaczu.

KRZYSIA.

Franio!

NIJA.

Spojrzyj przez mgły te mętne, co wzrok twój tumanią,
Tam kroczy Rzeczywistość za nikłą dziecinę
Przebrana. Ona za mnie odpowie!

Stoi jeszcze przez chwilę z wyciągniętą ręką, wyprostowana, pewna prawdy słów swoich. Krzysia pociera czoło raz i drugi.

FRANIO płacząc.

O Boże,
Boże!

KRZYSIA podbiegając ku niemu.

Franiu, co tobie? Skrzywdził cię kto może?!
Utul się, dziecię!

Przyprowadza go do ławki, siada, głaska go po główce.

FRANIO.

Boże, Boże, o mój Boże!

KRZYSIA.

Co się stało?? Mów, mów!

FRANIO szlochając.

Ksiądz — w kościele — z ambony —
Na ciebie — i Rokitę — —

KRZYSIA.

Ksiądz??

FRANIO.

Przy wszystkich ludziach —
Tak straszne rzeczy mówi — —

A właśnie wylega lud z kościoła, zbija się w gromadki, rozprawiając z gestykulacyą, znać do żywego poruszony. Kobiety kiwają głowami na obie strony, wznoszą z oburzeniem ręce, wygrażają. Nareszcie ktoś ukazuje ku szkole. Szmer idzie po tłumie, wszystkie spojrzenia kierują się w tę stronę. Krzysia pobladła wciąż głaska Frania po główce, ale już zupełnie bezwiednie.

KRZYSIA.

Ksiądz?? — na mnie?? — na niego?? —
Na niego?? — na mnie?? —

W tej chwili Rokita ukazuje się w oknie, wyciąga rękę w niebo i woła, cały zajęty tem, co widzi:

ROKITA.

Orzeł powraca!

Koniec aktu trzeciego.

AKT CZWARTY.

OSOBY AKTU CZWARTEGO:

ROKITA.
KRZYSIA.
WŁODEK
WŁODKOWA.
WYGODA.
WYGODZINA.
OWCZARZ
DZWONNIK.
CHŁOP 1.
CHŁOP 2.
KOBIETA 1.
KOBIETA 2.
KOBIETA 3.
DZIECI.
TŁUM WIEJSKI, **różnej płci i różnego wieku.**

Ustronie między szkołą a domem pana Wygody, jak w drugim akcie, tylko wszelkie liście opadło z drzew i bujne bluszcze na ganku zmieniły się w zeschłą plątaninę łodyg, szeleszczących w podmuchach wiatru listopadowego. Zapada wieczór. Po niebie przeciągają ciężkie chmury. W powietrzu wirują niekiedy płatki śniegu. Gdzieś wiatr uderza okiennicą. W dali słychać jakiś donośny głos, który czasem ginie w szumie wichury. Nagle rozlega się wrzawa, po chwili cichnie i znowu słychać tylko ów donośny głos. Teraz ktoś szybko nadbiega. Ukazują się w głębi: Owczarz i Dzwonnik.

OWCZARZ.

Powiadają, że poszedł do pana Wygody.
Walcie w drzwi!

DZWONNIK.

Jezu Chryste!

OWCZARZ.

Oblecę zagrody
Za starszyzną,

Znika w głębi. Dzwonnik biegnie do ganku i uderza w drzwi.

DZWONNIK.

Otwirać — hej!

Dobija się gwałtownie.

GŁOSY Z WEWNĄTRZ.

Co? Co się dzieje??

Na ganku ukazują się: Wygoda, Wygodzina, Włodkowa i Włodek.

WYGODA.

Co się stało?

DZWONNIK zadyszany.

Czy nimo tutok pana Włodka?
Gadajom, że noprędzy u was się go spotka.
A dyć go widzę! Gonię, aż się ze mnie leje.

WŁODEK.

Co? O co chodzi?

DZWONNIK.

Ojej, przybywajcie skoro —
Kóniec świata, krzyk, zamęt, warjują ludziska,
Ten opęt ik pozbirοł koło cmentarzyska
I gada do nik!

WŁODEK.

Jakto? Koło cmentarzyska??
I ludzi przy nim sporo?

DZWONNIK.

Pytacie, czy sporo!
Nie zliczy! Jezu, Jezu! Lećcież przez Bóg żywy
A poradźcie, bo człowiek nie ścirpi szedziwy!

WŁODEK ruszając.

Rozpędzić! Co za śmiałość! Koło cmentarzyska!

Wychodzi pospiesznie wraz z Dzwonnikiem. Po chwili rozlega się wśród wichury jego głos i znowu powstaje wrzawa, która na przemian słabnie, to znów rośnie. Wygodzina i Włodkowa zaczynają płakać. Wygoda napędza je do izby.

WYGODA.

Do alkowy! Tu po was nic! Nie stać na dworze!
Gotowa jeszcze przed dom zwalić się gromada!

WYGODZINA.

Sądny dzień!

WYGODA.

No, idź, idź!

WŁODKOWA.

O Boże, Boże!

WYGODZINA.

Boże,

Boże!

WYGODA zamykając za niemi drzwi.

Wzywajcie Boga — ot, na wszystko rada!

Wychodzi przed ganek, składa ręce na piersiach, patrzy po niebie i wzdycha, jak gdyby go gniótł jakiś bezmierny ciężar. — Wrzawa w dali przybiera coraz większe rozmiary. Otwierają się drzwi szkoły. Krzysia, wywabiona hałasem, wyziera w kierunku, skąd głosy dobiegają. Wygoda zobaczył ją. Wstrząsnął się, odwraca głowę. Teraz Krzysia zobaczyła go także. Pobladła i waha się, czy wrócić, czy podbiedz.

WYGODA.

Córka...

KRZYSIA biegnąc z wyciągniętemi rękami.

Tatulu!...

Ale Wygoda nie patrzy na nią. Stoi nieruchomy ze złożonemi u ust rękami, z głową wciśniętą w plecy; wlepił wzrok w ziemię, sapie tylko ze wzruszenia. Krzysia która już chyliła mu się do nóg, zatrzymuje się, prostuje, chcąc dumą pokryć ból.

KRZYSIA.

Więc mnie już nie uznajecie...
Ha, trudno!... Wola wasza... Cóż! jedyne dziecię
Tak łacno wam przychodzi odtrącić!...

I we mnie
Jest duma! —

Wam się zdawa, że każdej kobiecie
Jeno szyć a kołysać dzieciątka... Kto waży
Co innego, wytrącon będzie!

Wre po głowach
Bój myśli, mąż na męża rusza, w gorzkich słowach
Ciska wyzwanie, zawiść goreje na twarzy —
I tak być musi!

Ale — co mieszać krwi związki
Do tych bojów?... Spojrzyjcie... Czyli przyrodzony
Węzeł ma prysnąć? Córce ojciec ulubiony
Dlatego wrogiem??

Niechaj walka wre, bo dusza
Musi walczyć o swoje. Ale, ojcze, ona
Tego, co krwią związane, niechaj nie narusza
I niechajże wam lodu nie wkłada do łona
Dla córki waszej jedynej — bo to jest
Potworne!

WYGODA po chwili, głucho.

Tyś wybrała między nim a nami...

KRZYSIA.

Pomiędzy nim a wami! — A cóż wy mi dali
Prócz tej lepianki cielesnej?... Wybrała!
Jam jako mgła pod tchnieniem słońca z ziemi wstała,
A ziemią był mi dom wasz... On! Czy wy zbadali,
Co to jest takie tchnienie słoneczne?...

WYGODA.

Ta wrzawa —
Te zatargi — to wasze pożycie...

KRZYSIA.

Cóż jeszcze
Stary ojcze! — Tak, wrzawa, wrzawa — bo, on twardy,
Gdy go nadeptać, twardy i do boju stawa
Całemu światu! — Ale to na waszą głowę
Zadużo... Cała mądrość u was: posłuszeństwo!...
Widzicie, idą jakieś pokolenia nowe,
Śmiałe, którym jest duszno śród was... One wznoszą
Głowy wysoko, one z takim ogniem głoszą
Swoje wierzenie! Dla nich żadnych przeszkód! Dla nich
Cały świat! Dla nich — —

Wygoda rusza w stronę ganku. Krzysia postępuje za nim.

Dla nich — ojcze —
Nawet słuchać
Wam strach!

Wygoda zniknął w ganku. Krzysia patrzy za nim długo, wreszcie zakrywa rękami oczy i odwraca się ku szkole.

Tak — dla nas niema ojców, ani matek...

Tymczasem owa wrzawa zbliża się. Wpada gromada dzieci, chichocząc cicho mówiąc między sobą: »Kazanie świeckie, kazanie świeckie!« Jakiś malec gwizdnął przeraźliwie. Inne dzieci, ujrzawszy Krzysię, gromią go; malec przesadza par-

kan i kryje się. Wchodzą kobiety, mówiąc między sobą: »O wa, wa!« »Rety, rety!« »Ludzie, co się dzieje?« »Jej, jej, kóniec świata, abo co?!« Inne zwracają się do dzieci: »A do chałup!« »Nie zalegać na drodze!« Dzieci pierzchają do ścian, inne włażą na drzewa. Wchodzi z rozgwarem gromada ludzi różnego wieku. Słychać w głębi donośny głos Rokity, który teraz dąży wśród tłumu, uniesiony, oczy w płomieniach, zdaleka już woła do Krzysi:

ROKITA.

Spędzają nas świętoszki od płotów cmentarza!
Pana Włodkową duszę collegium przeraża
W obliczności umarłych, bo ich nasze mowy
Mogłyby wskrzesić, no i byłby kłopot nowy,
Gdyby nas nieboszczycy aplauzem uczcili!

CHŁOP 1 do drugiego.

Co on gada??

CHŁOP 2 kiwając głową.

Tie — tie — tie!

ROKITA.

Lecz nie tracim chwili
I jako chmura wiatrem gniewliwym zegnana
Zbieramy się gdzieindziej, choćby tu, gdzie ściana
Lśni się ta, choćby w pana Włodkowym ogrodzie,
W górach, przepaściach ciemnych, w powietrzu, na wodzie!

Zwraca się do tłumu.

Wszędzie będziem bój wszczepiać, o każdą piędź ziemi,
O każdą duszę — na śmierć i życie! Mamidła
Nie ustraszą nas, komże, stuły i kropidła,
Ani nad kazalnicą ta twarz purpurowa
Oburzeniem!

Do Krzysi.

Kochanko moja! We mnie znowa
Dawnego woja ogień! I nie będę nucił
Piosenek ziemi, wonnem upojony latem —
Z piersi motyl uleciał a orzeł powrócił,
Niech on błyska swym szponem i krąży nad światem!

Do tłumu.

Ludzie! Nie wierzcie w alby, berety i togi!
Światłość słoneczna sięga hen w najniższe progi,
Nietylko w te piwnice beretami kryte,
Przesycone stęchlizną, ciemnością spowite!
Ludzie, słuchajcie orłów podniebnych!... Co mogą
Wyhukać wam te sowy w komżach?! —

Wichru drogą
Leci myśl, chwyta piorun czerwony i ciska
W one gmachy, kryjówki puhaczów!

CHŁOP 1.

Ludziska,
Hii, jak uon poniwiro świntymi sukniami!

TŁUM.

O! — O! —

ROKITA.

Choć te puhacze dzisiaj w dziejów księdze
Piszą hymny o sobie, ale w ich potędze
Rysa, gmach mroku pęka, wali się, słyszycie?
Z ruin dźwiga się nowe, wielkie, wolne życie,
Jasnością twarze ludzkie oblewa! Dzień wstaje,
Nowy dzień na tym świecie i sunie przez kraje
Z płonącem słońcem w ręku!

Puhacze i sowy
Powychylały zlękłe, oślepione głowy,
Wyciągają kropidła, huczą, straszą, kraczą,
Lecz dzień widny wstępuje w dziedzinę puhaczą,
Zmiata togi, berety, blaskiem znaczy drogę — —
Ja to mówię, com zdobył i beret i togę!

CHŁOP 1.

Poniewieracz!

CHŁOP 2.

Dzicie go!

TŁUM.

Huuuuu!

ROKITA.

Tym świętym sowom
Zgon! Nikt dziś już nie wierzy ich obłudnym mowom! —
Wszystko dokoła trzeba bystrym sprawdzać wzrokiem,
Ważyć myślą, brać w rękę, własnym mierzyć krokiem!
Kto twierdzi co innego, ten jest człowiek mały,
Chociażby jego słowa z kazalnic padały!
Nie wierzcie mu, on kłamie i ma w tem swe cele!
Ludzie, tu w przyrodzenia ogromnym kościele
Jest prawda i w nią wierzcie!

CHŁOP 1.

Płanetnik!

CHŁOP 2.

Szaleje!

TŁUM.

Szaleje... Huuuu... Płanetnik!

ROKITA.

Tacy ludzkie dzieje
Zamroczyli, na słońcu położyli togi,
Łańcuchami przecięli wszystkie świata drogi,
Ażeby cło ciemności pobierać!

TŁUM.

Szalony!
Huuu... Szalony!

ROKITA.

Słuchajcie!... Śród myśli skupionej
Ostatni błysk! — Powagi, co w beretach siedzą,
Jeszcze mniej, niż wy, o tem przyrodzeniu wiedzą
I jego najtajniejszych drgnieniach w łonie bytu,
Więc ukochali ciemność, lękają się świtu!
Niech wróci świt! O ludzie, to jest nasz cel główny:
Wobec światła i szczęścia każdy człowiek równy!
Wielkie to prawo bije w waszych ócz jaśnieniu,
Szumi w wichrach i woła w całem przyrodzeniu,
Woń kwiatów niech to prawo wciąż wam przypomina!
Ziemia — to jedna wielka braterstwa dziedzina!
Kto głosi co innego, niech przepadnie, zginie —
Ludzie, światła i szczęścia żądajcie jedynie!

Pada kamień. Krótki okrzyk. Rokita obejrzał się, postępuje krok naprzód ku dzieciom, które się przed nim usuwają:

Dzieciny małe, kto mi wasz orszak rozgania?
Kto was nauczył szyderstw, śmiechu, urągania,
Kto w rękę wsunął kamień i wskazał gdzie mierzyć?
Jak łatwo wam uwierzyć, jak łatwo nie wierzyć!

Czemu dziś mnie stronicie? Dlaczego te ściany
Świecą pustką? Tu do mnie, orszaku kochany!
Kto was wodził pod one wiosenne sklepienia,
Kędy się rozlegały miłe ptasząt pienia,
Stukot dzięciołów, echa po lasach? — Wy mali,
Nieoszpeceni jeszcze na duszy! Kto w dali
Na górach myśli wasze kołysał? Kto kwiecił
Wasze serca? Kto myśli rozwidnił, rozświecił?
Czy już nie poznajecie, dzieci, tego pana,
Który z wami na pola wybiegał co rana,
Prowadził przy różowem świtaniu jutrzenek,
Zbierał zioła i nowych wciąż uczył piosenek,
Wesół, biegł dzikie róże zatknąwszy na piersi —
Wy przyjaciele moi, wierni, bo najszczersi — —

Nastaje wielka cisza. Słychać przytłumiony płacz jakiegoś chłopca.

O!... O!... O!... to głos sądu między mną a wami!
Podać szalę, ja tylko napełnię ją łzami
Onej dzieciny... Tylko łzami!... Wy chwytajcie
Wasz gniew i oburzenie kazalnic dodajcie,
Obaczym, która szala zwycięzko przeważy!

KOBIETA 1 **z westchnieniem.**

On ta zawżdy dla dziecek dobry był.

KOBIETA 2.

Co prawda,
To prawda.

KOBIETA 3.

Tak, był dobry.

GŁOSY PO TŁUMIE.

Był dobry — był dobry.

KRZYSIA do Rokity.

Ty ich przemożesz! Jasność bije z twojej twarzy,
Ptak orli dzisiaj w tobie! Daj dłoń, dłoń ta silna!
Nachyl czoła —

Całuje go.

A tutaj czuwa myśl niemylna!
Świat jest piękny, gdy tacy jak ty nim władają! —
Pójdźmy już, niech te słowa oni rozważają,
Niech im dojrzeją!

ROKITA obejmując ją.

W onym burzliwym zamęcie
Tyś gwiazdą sternikowi! Rozruch na okręcie,
Burza pada na żagle, kąsa gniewnie liny,
Ryczą smagane wiatrem przeciwnym głębiny,
Chciałyby zmieść sternika — bezsilne miotania!
Już burza wyczerpana i fala się słania
Do nóg nam!

Toną w uścisku. Kobiety trącają się łokciami, mężczyźni pomrukują z oburzenia.

CHŁOP 1.

Wstydu za grosz niema w stadle onem,
Które bies stułą wiązał a kropił ogonem...

Powstaje gwar. Rokita szybko odwraca się do tłumu.

ROKITA.

Kto to powiedział??

Cisza. Rokita postępuje krok naprzód.

Ludzie! Kto tak powyrywał
Piórko po piórku z duszy wam! Kto was tak tuczył
Jadem, którym plujecie? Kto was tak przyuczył

Pełzać w prochu!... Gdzie owi szeptacze ukryci,
Z których każdy grzech wietrzy i gmin zgrozą syci
Swej świętej duszy, zgrozą chyłkiem podawaną — —

CHŁOP 1 butnie.

He-he, nam całkiem jawnie wszystko powiedano!

Głuchy gwar. Rokita wznosi pięści.

ROKITA.

Ludzie! Kto tak na łańcuch wziął waszego ducha
I pogrążył go w mroki, wobec których cienie
Otchłanne bledną?... Ludzie, toż z was ciemność bucha
Jak huragan i gasi pochodnię wszelaką,
Wszelaką światłość, wszelkiej iskry pierwsze drgnienie!

Z gniewem, dumą i wzgardą.

Żali wam w prochu pełzać istotnie? Ażali
Wam być jedynie podnóżkiem? Ty tłumie!
Dłoń bezmyślna batogiem grzbiet twój raz wraz wali,
Kopie cię, zwierzu, a ty słuchy tulisz, ciemny,
Brzuchem legasz, łeb trwożnie składając w proch ziemny,
Skomląc rad, gdy dłoń ona od chłosty się znuży!

CHŁOP 1.

Plugacz!

CHŁOP 2.

Pluje na naród!

TŁUM.

Huuuu!

CHŁOP 1.

Płanetnik!

CHŁOP 2.

Opęt!

CHŁOP 1.

Charakternik!

TŁUM.

Huuuu!

KOBIETA 1.

Dzicie, ludzie!

CHŁOP 1.

Poniewieracz!

TŁUM.

Huuuu!

CHŁOP 1.

Kogo uszanuje taki? Wszystkich spycha,
Sam ino głowa!

CHŁOP 2.

Odma!

CHŁOP 1.

Odęła go pycha!

CHŁOP 2.

Matołka!

TŁUM.

Huuuuuuuu!

Nagle tłum się rozstępuje. Staje w pośrodku pan Włodek.

WŁODEK.

Zamilknąć!

Hałas cichnie powoli, tylko tu i ówdzie niektórzy wygrażają.

Dosyć mi tej wrzawy,
Od której w swem jestestwie najgłębszem człek prawy
Obruszony! Dość długo bylichmy cierpliwi!
Zatrutą strawą żaden lud się nie pożywi!
Napróżno złota łuska przyodziewa gada —
Społeczność świecka jeszcze sposoby posiada,
Ażeby ubezwładnić szalone zamiary.
Wprawdzie jakiś zuchwalec bez czci i bez wiary
Lotnością słowa zdurzy, obejściem podbije,
Ale syk gadzinowy zdradzi w końcu żmije!

CHŁOP 1.

Charakternik!

CHŁOP 2.

Płanetnik!

TŁUM.

Huuuuu!

WŁODEK.

Zmilknąć!

GŁOSY.

Sza... Cichać!

WŁODEK.

Więc dość tej zawieruchy w umysłach! Nietrudnie
Poskromić tych, co dusze zatruwają studnie
W obłędzie niepojętym! — On, upominany,
Instancyom nieposłuszny, wreszcie odwołany,

Sparł się Bogu i ludziom! Więc ostatnie słowo
Niech zawre nad tą pyszną, nieugiętą głową:
Odmówisz mu, człowiecze zbożny, ognia, wody,
Ani go nie dopuścisz pod próg swej zagrody,
Choćby się wił jak robak w dokucznej chorobie,
Mijać go będziesz — jeśli dłoń sięgnie ku tobie,
Pluniesz — niechaj wytrącon nigdzie nie przysiędzie,
Niech jako pies bez pana obłąkany będzie,
Budzący strach — że nie chciał nic uznać, że śmiało
Targnął się tu na wszystko, że myślą zuchwałą
Mierzył za górnie, że nasz obyczaj pokalał,
Że nie wzniósł nic, lecz wszystko co mógł, to obalał!

CHŁOP 1.

Kinąć go!

CHŁOP 2.

Kinąć!

LICZNE GŁOSY.

Kinąć!

TŁUM.

Huuuuu!

CHŁOP 1.

Spychacz!

CHŁOP 2.

Płanetnik!

TŁUM.

Huuu... Kinąć, kinąć, kinąć!

ROKITA.

Prawda!... Stokroć prawda!

TŁUM.

Huuuuuuu!

ROKITA.

Prawda! Hej, słyszycie? Ja sam teraz głoszę,
Że prawda!

GŁOSY W TŁUMIE.

Uważajcie!

INNE GŁOSY.

Cichajcie!

ROKITA.

Tak — prawda!
Wszystko prawda!... To była ułuda!... Junosze
Zapędy!...

Wskazuje na szkołę.

I to dzieło tam — niedoskonałe!
Precz z niem, precz! Ono było za nędzne, za małe!
Co stary gmach poprawiać w dylach w pół zbutwiałych!
To dobre dla mrzonkarzy, tych głowaczy małych,
Co to się kamykami sądów w izbach bawią!
Tak!... Dzieła nieudolne własnych twórców dławią —
Precz z niemi!

Posłuchajcie... Tam wicher nad głową
Szumi — i w onym szumie głosi myśl gromową:
Starego świata żadni zbawcy nie naprawią —
Zwalić go! — Tak, a z gruzów wydźwignąć na nowo
Większy — —

Poruszenie w tłumie.

KRZYSIA chwytając Rokitę za ramię.

Tyś chory — skronie pałają — co zwalić??

TŁUM.

Aaaaaaa...

ROKITA.

Zwalić — to wszystko na około zwalić!
Instancye, kazalnice, cały ten gmach stary,
One ustawy, one wiary i niewiary,
Przeszłość i Teraźniejszość, wszelakie nadzieje,
Zwątpienia — w ogień! — Całe te jutrzejsze dzieje
W ogień!

KRZYSIA.

Przerwij — poczynasz mówić nieprzytomnie!

ROKITA.

Cha, cha, cha! I ty mała!... Jak oni ogromnie
Mali!!!

KRZYSIA.

Krzywdzisz mnie!

ROKITA do Krzysi.

Precz!

Do tłumu.

Tak — ten cały świat — zwalić!

TŁUM okrzyk zgrozy.

Aaaaaaaaa...

WŁODEK.

Idźmy! W naszych oczach poczyna już szaleć!

Wychodzi żegnając się. Tłum rozbiega się z przerażeniem na wszystkie strony, wołając: »W imię Ojca i Syna! W imię Ojca i Syna!« — Krzysia chce Rokicie rzucić się na szyję.

KRZYSIA.

Rokita!

ROKITA.

Mała jesteś jak oni! — Precz!!

Wbiega do szkoły. Zatrzasnął drzwi za sobą.

Koniec aktu czwartego.

AKT PIĄTY.

OSOBY AKTU PIĄTEGO:

ROKITA.
KRZYSIA.
NIJA.
KRĘTACZ.
WYGODZINA.
WŁODEK.
CHŁOPI.

Izba Rokity. — Po prawej drzwi, przed niemi grupa potwornych kaktusów i ciężki, rzeźbiony stół z półką, na której astrolabium, trójkąty, a na stole porozrzucane papiery i otwarty foliant; w pobliżu stołu wielki gotycki fotel, obity skórą wytłaczaną. Po lewej łoże gotyckie fantastycznie rzeźbione, przed którem aż na pół izby rozesłany perski dywan; nad łożem kilimek i w okrągłych ramach portret uczonego z kruczą brodą, w czarnym akademickim stroju, z beretem na głowie. Przy ścianach police z foliantami, sięgające aż pod powałę; kilka stołków obitych skórą. W głębi po lewej drzwi, po prawej okno. Nad policami kilka jastrzębi, nad drzwiami ogromny orzeł. — Noc. Za oknem widać czerwoną tarczę księżyca. Na łożu spoczywa Krzysia; leży twarzą do zasłania. — Z prawej wchodzi Nija z ogarkiem w ręce, stanęła nad Krzysią, świeci, przypatruje się jej, ale bez czucia dla niej. Następnie stawia ogarek na stole, zwraca się do okna i długo milczy, zatopiona spojrzeniem w tarczę księżyca.

NIJA.

Jak krew — i ciągle patrzy ku ziemi...

Krzysia poruszyła się niespokojnie. Obraca lękliwie twarz na Niję.

I wieki
Patrzy... Twarz straszna... Ona pragnęłaby może
Odwrócić się, pogrążyć w bezdennym przestworze —
Ale oko zakrzepło śród martwej powieki
I musi patrzeć!

Jakaś klątwa na tem czole
Czerwonem, jakaś groza... Że też od niej w dole
Ludzie nie pomrą...

He — ty — ziemianko!

Czy ciebie
Nie ciekawi to widmo zawisłe na niebie?
Uważ — coś zabójczego jest w onem spojrzeniu
Tej krwawej twarzy...

Krzysia usiadła na łożu, pogląda ku drzwiom w głębi; w całej postaci przebija się lęk i znękanie.

He — cóż, ziemianko??

W cierpieniu
Taka twarz kusi... Czy nie?... Krew — i wielki spokój,
Taki ogromny spokój!

Krzysia z trudem dźwiga się z łoża, chce iść ku drzwiom w głębi: ale w tej chwili obróciła się ku niej Nija.

Dokąd?? — Wszak tam zgraja
Opadnie ciebie, gradem zasypie kamieni...

Krzysia opada bezsilnie na łoże.

Leż — leż — i popatruj ku onej czerwieni
Wspominając, co ongi w kwitnące dni maja
Śniłaś o wzlotach, ludzka ćmo!

Już sił nie stało
W skrzydełkach? — Wzlot, wzlot! Onej w bezmiary się rwało!
Jakie to przecie słabe i nędzne!

Przez drzwi w głębi wchodzi Rokita. Nija wpatrzona w księżyc nie zwraca na niego uwagi. On bierze ją za ramię, wskazuje na tarczę księżyca i uśmiecha się tajemniczo.

ROKITA.

Patrz — jest — jest —
Byłem na górach — a on widzi doskonale —
Ho, ho! Przez tyle wieków!

Czekałem na skale —
Obaczył mnie — i wszystko obaczył, co chciałem,
Aby obaczył...

Wiesz, co powiedział? — Że dzieło
Było wielkie — jest wielkie! Tylko w onem całem
Jest nieudolność. Dzieło zostać ma! A ono:

Przyduszonym głosem, z uśmiechem dzikiej radości.

Zwalić!

Robi ruch ręką. Po chwili wskazuje na Krzysię.

A ona przed tem drgnęła!...

Powoli twarz jego przybiera wyraz wybaczającej litości.

Dla niej przecie
To dziw! Czyż ona może pojąć??... Przyuczono,
Wdrożono... Cała dusza jej tkwi w onym świecie —
Matka — ojciec...

Usłyszawszy jęk Krzysi.

Słabujesz?...

Słabuje... aaa... szkoda...
Ale popatrz — ja zdrów!... Mnie żadna tam przeszkoda
Nie powali o łoże...

Cóż — na słabość twoją
Zioła? — Nie! Prawda, matko? One trochę koją,
Uśmierzają... Lecz na to? Ho-ho! Na to trzeba
Poprostu — innej duszy!

Opiera się o framugę okna i zapatrzył się w księżyc. Nija spojrzała na niego, na Krzysię, wznosi rękę i powoli wychodzi w prawo. Zaledwie wyszła Krzysia zwleka się z łoża i osuwa się u nóg Rokity.

KRZYSIA.

Nie dręcz choć ty!

ROKITA podnosząc ją, bardzo wolno.

Ciebie??
Ja?? — Kiedy??

KRZYSIA.

Gdybyś zajrzał w piekło tych katuszy,
Które wre tu, tu...

ROKITA z niesmakiem.

Piekło...

KRZYSIA.

Byłam twoją z duszy
I z ciała — wszystkiem, wszystkiem dla ciebie wzgardziłam,
Biegłam za tobą, ile mocy dusznym siłam
Dane jest — a gdym w pustym przestworze ostała
Samotna — odstępujesz mnie...

ROKITA.

Ciebie?... Zamała
Sił onych miałaś! — Jeśli ustajesz na drodze,
Żali i ja mam ustać? Ja? W dążeniu onem?
Trzeba było tem czołem w mroku pogrążonem
Nie wychylać się, kiedy wzrok opuszcza wodze
Nie nadążając...

KRZYSIA z dumą.

Ja ci nadążę! — Ty jeno
Chcesz, bym nie szła, lecz wlokła się u nóg! — Niewolną
Chcesz mieć ze mnie...

ROKITA.

Niewolną?... Patrz — bezmiar ogromny —
Ile w nim dróg?... Dąż sama — szukaj — znajdziesz może
Prędzej niż ja?...

KRZYSIA.

Wiesz przecie, że jeszcze przełomny
Ptak ze mnie, że myśl krąży niepewna, żem polną
Pliszką, która nad skalne wzbiwszy się bezdroże
Wichrom czoła nie stawi sama...

ROKITA.

A więc wracaj
Może tam — do gniazd onych na ziemi... Po niebie
Bujać: czyż każdy musi? Kto wie, czy dla ciebie
Nie lepiej... Tak gardzimy gniazdami ziemskiemi...
Wrócisz — znajdziesz tam macierz — dzieciństwa
wspomnienie —
Grzędy skrzętnie pielone rękami własnemi,
Pieszczone rozmaryny — —

KRZYSIA ze wstrętem.

Nie szydź!

ROKITA łagodniej.

Ja??

KRZYSIA.

Mnie wrócić
Tam??... Nie, tam się nie wraca, tam się tylko spada...
A ja spaść nie chcę! Ja mam dumy zrozumienie!
Powrócić na śmiech ludzki?... Ah, nie, raczej skrócić
To wszystko...

Kryje twarz w dłoniach. Rokita stoi nieruchomy, niewzruszony, zapatrzony w księżyc. Krzysia sunie na środek izby, odejmuje dłonie od twarzy, patrzy na Rokitę, na obliczu jej pojawia się gorycz, potem uśmiech rezygnacyi. Wreszcie zaczyna mówić powoli, pokrywając ironię.

A więc dalej w bezmiar... Wszak wzlatacza
Mam przed sobą — o skrzydle mocnem, myśli śmiałej...
Już w niskościach pod nami ta ziemia puhacza,
Ten świat ślepców... Tam słońce! I dłoni zuchwałej
Sięgnąć tylko i strącić na ziemię...

Ha, pada,
Pryska ogniem, zapala powietrze — zagłada
Wszystkiemu — teraz jeno chwycić twórczej gliny...

Rokita sunie ku niej.

Lecz gdzie ona? — Dokoła bezdenne głębiny —
W bezmiar za nią!

ROKITA przejęty.

W bezmiarze — tam — są jakieś dale
Za ostatnią ciemnością...

KRZYSIA.

Jeno ludzkie twarze
Nie dojrzą — —

ROKITA.

Lecz jest twarz inna — o, tam!

Wskazuje na księżyc i rusza.

Bądź zdrowa!

KRZYSIA bardzo wolno.

Zaczekaj — twarz ta krwawa patrzy po obszarze
I wypatrzy... Przystaniesz na strzelistej skale
A zmiarkujesz, gdzie sięga spojrzeniem...
A potem
Ku onym dalom śmiałym puścimy się lotem...
Prawda, jak ja myśl dzielnie naginam ku tobie?...

ROKITA.

Tak — ty jedna — istotnie, ty jedna! — Aż dziwne,
Że ty jedna...

KRZYSIA.

A może w one dale żywne
Twórczością — sam chcesz wzlecieć?

ROKITA.

Nie — nie — nie... Ja z tobą —
Wszędy z tobą — ty jedna!... Nad gruzami bytu
Ja i ty! — i nikt więcej!... Z nas świat nowy wstanie,
Nieprzeczuty — a jasny jak promieni granie
O wschodzie...

KRZYSIA.

A teraz — idź... Ja tu głowę złożę,
Spocznę — na długo, długo — a w spocznieniu może
Dusza się wzmocni...

ROKITA z naciskiem.

Wzmocni!

KRZYSIA z odcieniem żałości.

I jeno bym chciała
W onem spocznieniu śnić wciąż o tobie...

ROKITA.

Bądź zdrowa...

KRZYSIA.

Uściśnij jeszcze...

Obejmuje jego skronie, drży.

Oh... oh... to czoło, ta głowa,
Te oczy gwiazdom równe i ta twarz, co grała
Wszystkiemi blaski wiosny mojej...

Odsuwając go lekko.

Idź już...

ROKITA jak do druha wiernego.

Żegnaj! —
Ty i ja — i nikt więcej!

Wskazuje na okno, za którem zniknął już księżyc a natomiast majaczeje sina jego światłość, że widno jak w dzień.

Na szczycie przystanę,
Wybadam i — powrócę...

Bierze ją za ręce.

Te dłonie kochane —
Wierne — żegnaj!

Wstrząsa jej rękami, biegnie do proga, raz jeszcze się odwraca.

Ja — i ty!

Wybiega. — Krzysia łamie się w sobie, opada na kolano, opuszcza głowę na piersi. Po chwili zmaga się, wstaje, na twarzy pojawia się wyraz determinacyi. Patrzy na swe ubranie, dąży szybko do łoża, uzupełnia ubiór, zwija swoje rzeczy w węzełek, umieszcza przy łożu. Następnie biegnie ku drzwiom, zawraca na progu, patrzy po całej izbie i szepcze resztką głosu:

KRZYSIA.

Ostańcie zdrowe
Wy ściany...

Wybiega. — Mija chwila. — Za oknem czerni się jakaś postać. To matka Krzysi. Zagląda ostrożnie. Opatulona chustką, w ręce koszyk. Ogląda się po za siebie, czy jej kto nie śledzi, następnie wsuwa nieco głowę przez okno i mówi szeptem:

WYGODZINA.

Pss... córuchno... to ja — ja — córuchno...
Matka... A leżże sobie na łożu cichuchno,
By nikt nie wymiarkował...

Probuje ręką po oknie.

Tu niema doniczek,
Nie zrzucę nic, nic... Z jadłem przyniosłam koszyczek,
Wstawię przez okno... Ludzie twardzi! A to wasze
Gospodarstwo człek niemal podwiązką opasze
I ty może dziecino cierpisz głód?...

Wstawia koszyk przez okno, ogląda się po za siebie i znowu szepcze:

Córuchno —
A odezwij się, albo zapukaj leciuchno
W łoże, abym wiedziała, że słyszysz...
O ludzie,
Jak wy twardzi! Gdy z wami kto na udry pójdzie,
Nie przepuścicie...

I ty twarda!...

Codzień rano,
Wieczór, witam i żegnam twarzą zapłakaną
Boże słoneczko...

Dzieci, czy wy rozumiecie,
Co to łzy matek?... Gdzie wam myśleć o tem! W świecie
Dola wasza... To tak już jest! —

Słuchaj, córuchno,
Co mam od ciebie ojcu powiedzieć? — Maluchno
Słabuje biedne ojczysko...

Żywo.

Córuchno,
Idzie ktoś!

Znika za oknem. Miga postać Krętacza, biegnącego pędem i wydającego przeciągły okrzyk. Wygodzina ukazuje się raz jeszcze w oknie i mówi szybko.

Niebezpiecznie tu... Ostań dziecino
Z Bogiem — i śpij, śpij długo a cicho!

Znika. — W tej chwili wchodzi z prawej Nija, idzie pospiesznie do okna, przykłada ręce do oczu, patrzy. Nadbiega pędem Krętacz, coś szepcze do niej i ukazuje ręką w dal. Oboje patrzą. Następnie Nija sunie do drzwi, otwiera, wygląda. Wraca do okna. Krętacz znowu ukazuje w dal i oboje wodzą za kimś wzrokiem. — Słychać ciężkie kroki. Krętacz odbiega z żałosnym okrzykiem a Nija odstępuje od okna i staje w postawie wyczekującej. — Wchodzi Rokita trzymając na rękach Krzysię, której głowa za każdym jego krokiem opada bezwładnie w tył. Z spódniczki ścieka woda strugą, włos rozpuszczony, namokły. Rokita przyklęka w środku izby, układa ją tak, że kolanami podpiera jej plecy a ręką głowę. Oddycha ciężko, wpatruje się w nią i lekko nią wstrząsa.

ROKITA.

Krzysiu, zbudź się... No, Krzysiu... Patrz, sploty warkoczy
Ociekają... Spódniczka ocieka... Skostniała
Jesteś, skostniała... Rzeka lodową krę toczy...
Krzysiu, ogrzejem, jeno odetchnij...

Wezbrała
Zdradna woda a kładka oślizgła...

Tak blada
Jesteś i nic nie mówisz?...

Matko, czy ty widzisz,
Jak ona dziwnie blada?...

Czemu ty tak blada?
Rączka zsiniała —

Bierze jej rękę i puszcza.

Jakże bezwładnie opada!
Krzysiu!

Potrząsa nią silniej.

Krzysiu — Nie słyszy... Tchnienie w piersi sparte
I tylko oczy... szkliste... szeroko otwarte
Tak dziwnie patrzą...

Składa jej głowę ostrożnie na podłodze, odwraca się z bojaźnią a po chwili kładzie dłoń na jej oczach.

Nie patrz tak...

Usuwa się, na twarzy jego widać rosnące przerażenie.

Czy to jest Krzysia??
Matko, spojrzyj... To przecież nie może być Krzysia —
To jakiś — trup!!

NIJA.

To tylko — trup!... To liść ostatni
Opadł z drzewa ułudy i zwiądł...

ROKITA.

Więc dlaczego
Jam go tu przyniósł?... On tak straszny, tak bezwładny...
Skąd się bierze bezwładność taka?!...

NIJA.

W owej matni
Zwanej ziemią, ten bezwład prosty... Są zachody
I wschody... Są rozkwity majowe i suche
Uwiędy... Wzlatacz tego nie pojmie! W zawody
Z wichurą mknie, gdzie grzmienia rozbrzmiewają głuche,
Gdzie żywioły szaleją...

Ostatnia nić prysła

Pętająca wzlatacza...
Patrzaj, noc rozbłysła
Sinością, majaczeją niebotyczne góry,
Za chwilę na przestworach ociężałe chmury
Wychylą grzbiety, rykną, krwawym gromem strzelą
I rozjaśnią powietrze błyskawic topielą...
Tu już ostatnia trawka zwiędła! — A dokoła
Ludzka puszcza tak niema i tak strasznie głucha,
Że nawet jęk w niej zaginie bez echa! —

Dla ducha,
Dla wzlatacza z tem ciemnem znamieniem u czoła
Nie żywieć tu!

Wzlataczu! Wnet po sinych górach
Rozpoczniesz błędny taniec, wołając w wichurach,
Gnany burzami...
Burze wschodu i zachodu
Hej a hej!
Z chmur obwodu
Wichrze wiej!
Jak puch błędny unieś go przez dale —

Jękliwie.

Jeszcze nikłe dzierżą go tu żale??
O! — O! — O!...

Do okna nadbiega Krętacz z tryumfalnym okrzykiem. Gdzieś daleko rozlega się głucha wrzawa. Nija bieży do okna, zawraca ku drzwiom, wybiega; z za okna patrzy na Rokitę, znika z Krętaczem. — Rokita rozgląda się dokokoła.

ROKITA.

Więc — gdzie jest Krzysia?
Krzysiu!...

Dokąd mogła ona
Tak dziwnie odejść...

Krzysiu!...

Tam jej rzeczy leżą —
A więc jeno leciuchną owiana odzieżą
Poszła w noc... A noc widna i tak rozjaśniona,
Że wzrok przez nieskończoność sięga...

Tu gdzie może
W powietrzu?...

Szeptem w przestrzeń.

Krzysiu...

W drugą stronę.

Krzysiu... Krzysiu...

Wstaje i sunie kołem, pytając.

Czy w przestworze?

Sunie ku drzwiom i staje.

Krzysiu...

Znowu zatacza koło i staje.

Krzysiu...

Wybiega. Za oknem przystaje, rzuca pytanie w przestrzeń głosem niesłyszalnym. kołuje, raz jeszcze wysuwa głowę ruchem charakterystycznym, sunie, już latawiec, znika. — Wrzawa w dali rośnie do rozmiarów buntu. Za oknem przebiegają ludzie. Niektórzy przystają i zaglądają zdaleka. Słychać głosy:

»Kto mówił?«
»Pachoł ich!«
»Pachoł ich mówił!«
»Poruszył całą wieś!«
»Wołał, że on ją uśmiercił!«

WRZAWA:

»Ludzie, rety! A haw, haw!«

GŁOSY:

»Gdzie on ją ukrył?«
»Zajrzyjmy, zajrzyjmy!«
»Ludzie! Taż ona tam leży na środku izby!«

WRZAWA:

»Rety, o, o, o!«
»Patrzajcie, patrzajcie, o, o, o!«

Tłum ciśnie się koło okna z okrzykami zdumienia i zgrozy.

GŁOSY:

»Na zatracenie ją przywiódł!«
»Nieszczęśliwa dziewczyna!«
»Nieszczęśliwa, nieszczęśliwa!«

OKRZYK:

»Pomścić ją!«

LICZNE GŁOSY:

»Pomścić, pomścić!«

Wtem tłum się rozstępuje, słychać wołania:

»Pan Włodek bieży!«

Idzie kołem po tłumie:

»Pan Włodek — pan Włodek — pan Włodek!«

Wrzawa milknie nagle zupełnie. Słychać tylko stąpania. Wchodzi Włodek na czele chłopów. Niektórzy dzierżą płonące żagwie.

WŁODEK.

Tu gniazdo tego węża — lecz wypełzał z niego!
A ona? — ah!

Ujrzał, wzdrygnął się, odkrywa głowę a inni idą za jego przykładem. Ludzie zachodzą ze wszystkich stron, popatrując i wzdychając:

»Jezu, Jezu!«
»Złożyć ją na łożu!«
»Niech tak nie leży porzucona!«

Już schylają się śród poszeptów, ale Włodek wzbrania im silnym głosem:

Stać, nie tknąć — wyklęta!

Szmer trwogi i żałości.

To boże
Wyroki! — Takież sobie zgotowałaś łoże
Nieszczęsna dziewko? — Patrzcie, i to ta krasnota,
Ta turkaweczka, teraz w pohańbieniu takiem!
O! kto nad dom ojcowski płochym buja ptakiem,
Czyją pierś ta nieczysta zapali tęsknota,
Kto podniesie dłoń śmiałą na wiązadła świata
I wstrząśnie niemi — temu taka ot zapłata
I koniec ot!

Za oknem rozlega się rozpaczliwy krzyk Wygodziny. Szepty: »Matka, matka!« »Rozstąpcie się!« »Puścić matkę do niej!« Włodek grzmiącym głosem:

Nie puszczać matki!

Dłoń człowieka
Nad dom on wyciągnięta, czyn ostatni czeka!
Pojrzcie na one księgi, na tę mądrość świecką
I na nieszczęsną dziewkę, w pół wyrosłe dziecko!
Z ksiąg onych tam spiętrzonych czerpał on te chucie
I wszczepiał miasto wiary śmiałość i zepsucie!
Precz z onemi księgami! Hej, z polic je cisnąć,
Stos ułożyć z plugastwa i żagwią zabłysnąć!

Tłum z wrzawą spełnia rozkaz.

Niechaj płomień rozgryzie niebezpieczną strawę,
Niech pod strop ten ponury strzelą blaski krwawe,
Liżąc ściany, żar niecąc! — Hajże, brać do ręki
Co popadnie, kłonice, drągi i osęki!
Zburzyć wszeteczne ściany, zczyścić śród płomieni,
Niech dom ten w gorejący grób dla niej się zmieni!

Podpalają stos.

Niech kamień na kamieniu z tych ścian nie zostanie,
Niech ruinę oświeci jutrzejsze świtanie,
Niech wiatry między góry poroznoszą dymy
A na kupę popiołów przekleństwo rzucimy!

Wrzawa. Burzą dom.

Koniec aktu piątego.

AKT SZÓSTY

ALBO: EPILOG.

OSOBY AKTU SZÓSTEGO ALBO PROLOGU:

ROKITA.
NIJA.
ZŁY.
KRĘTACZ.
OPĘT.
PLUGACZ.
SZATANY.
DUCHY DWÓCH SIEROT.

Góry piekielne. — Na szczytach roi się gromada szatanów. Z okrzykami przerażenia ukazują sobie świecącą w bezmiernej dali łunę. Głosy: »Tam, tam, o!« »Gdzie, Gdzie?« »Tam, widzicie, o!« »To ziemia!« »To na ziemi!« Idzie szmer w około: »Ziemia — ziemia — ziemia!« Rozlega się wstrząsający okrzyk: »Ziemia się pali!« Wybuchają jęk i biadania.

OPĘT.

Czemu wyjesz w pomroce o ty wylękła zgrajo!
I cóż tam płonąć może?
Mrówek ludzkich kopiska? Twarde człowiecze łoże?
Wieś? Miasto? No, dwa miasta? — Niechaj płomienie
Potężną pieśń zniszczenia! grają
Ho, ho! Wiej krwawa falo, zlizuj ognia językiem
Pracę ziemian! — Dwa miasta? Trzy miasta? Co? Cztery??
Cha, cha, cha! Co za klęska!... Lubię śród nocnych mroków
Paść oczy tym drgającym na niebiosach ognikiem,
Lubię ten dym, te jęki, te klątwy, złorzeczenia!
Za mną! Rozwińcie skrzydła kosmate bohatery,
Cichym lotem puhaczów kędy noc świat ocienia
Pomkniemy śród obłoków!
Będziem drwić z gromad ludzkich, chwytać żagwie, w dal ciskać,
Będziem szydzić, chichotać, wytrząsać się, kłem błyskać!

SZATANY.

O!!... O!!...

PLUGACZ.

O, nie! Tam płoną jakieś potężne uniesienia,
Jakieś wielkie porywy!
Tam jakiś świat zapada, rwą się jego wiązadła —
Uważajcie, szatany, tam jakaś myśl upadła!
O! — O! — O! —

SZATANY.

Dziwy, dziwy!

PLUGACZ.

Chwycimy ją do piekła, białe szaty splugawim
I obedrzemy skrzydła!
Plwać będziemy jej w oczy za to, że myślą była,
Zdusim, zbezcześcim, zdławim!
Niech będzie pełzająca, zohydzona, obrzydła,
Kiedy w słońce mierzyła!

SZATANY.

O!... O!... O!...

OPĘT.

Myśl jakaś płonie, mówisz? Oho, ogon podwinę
I zejdę w dół, w ziejącą oparami głębinę...
Nie lubię walki z myślą! Nieraz legła w popiołach
Spalona piorunami losu. Piekło zerka,
Zaciera łapy. Nagle w popiołach iskierka —
Budzi się — żyje... Nie, nie! Myśl — z nią nie zaczynać,
Można ją wieki dusić i w proch hańby zginać,
W końcu dźwignie się zawsze!

SZATANY.

Strach, strach, strach!

OPĘT.

A widzisz!
I cóż, że ją splugawisz? I cóż, że zohydzisz?
Ilekroć widzę jakiś błysk na ludzkich czołach,
Zmykam — jeszcze oślepi! A mnie wzrok mój miły!
Z myślą różne szatany próżno się biedziły,
Przeczą niby, lecz na nią nikt rad się nie zrywa.
Myśl — to jest głupia sprawa, myśl, widzisz, z nią bywa
Kłopot! Łatwo brać w łapy najprzedniejsze zbrodnie,
Nie rwą się, bo im tutaj swojsko, nieodrodnie.
Ale myśl — buntownica! Strach brać, strach ją dusić,
Bo jest w niej jakaś wielkość, która może zmusić,
Że przed nią — tfu — na klęczki...

SZATANY.

Strach, strach, strach!

OPĘT.

A widzisz!
Zacząć i przegrać, to jest rzecz całą zohydzić,
Skompromitować! My tam nie do tej roboty,
Nam brać złodziejów, gachów, pijaków, kokoty!

PLUGACZ.

Jacy wy mali, jacy wy nikczemnie mali!
Jeżeli kiedyś wszechświat do nóg wam się zwali,
Jeszcze wam braknie ducha, by wyciągnąć rękę...
W własne ścierwo zatopcie spienioną paszczękę
I wyjcie z bezsilności!

GŁOSY ŚRÓD SZATANÓW.
Sza — sza — sza!

OPĘT.
Na łunie
Punkcik czarny.

GŁOSY.
Gdzie? Gdzie? Gdzie?

INNE GŁOSY.
Tam, tam, tam!

OPĘT.
Ktoś sunie...
Postać rośnie... Już słyszę poświsty... Tu zbacza...
Żali to nie nasz Krętacz??

GŁOSY.
Krętacz!... Tam Krętacza,
Krętacza widzą — tam, tam!

OPĘT.
Jak czczę błyskawicę,
To on! Z ziemi przybywa! Umilknąć szatany!

GŁOSY.
Sza, sza, sza!

OPĘT.
Ha, jak leci! Ziemskie ma łachmany!
Cha, cha! Ziemia nam dzisiaj widowisko daje!
Z czem przybywasz, pogromco? Jak lśnią mu źrenice —
Zatacza koło — teraz na przełęczy staje!

Na przełęczy ukazuje się Krętacz. Jeszcze ma na sobie część stroju ziemskiego. Postać tryumfująca. Wyciąga rękę w stronę ziemi i woła:

KRĘTACZ.

Tam patrzcie, gdzie ta łuna na krawędzi świata!
Słyszycie wrzawę głuchą? Aż do nas dolata!
Sto ramion przeciw niemu dźwignęło się w gniewie,
Waląc ściany i w gruzy rzucając żarzewie,
Krzyk zgrozy pomieszany wraz z hukiem płomieni
I wnet już jego dzieło w ruinę się zmieni!
Na pniu ułudy dzikie szaleństwo wykwita,
A on, on wzlatacz śmiały, on bożek Rokita,
Jak obłąkany dążąc za marą zniknioną
Ulata z swą kokoszą pod nocy zasłoną
I jeszcze nie rozumie tego, co się stało!

Żywe poruszenie śród szatanów. Krętacz śmieje się dziko i woła w dal:

Ukaż no, paniczyku, oną rączkę białą,
Odgarnij włosy z czoła jasnego — a co to?
Błoto, gołębiu? Widzisz, zwykłe ludzkie błoto!
To ów światek kochany!... Unurzałeś ręce?
Jakże piękny ten światek w majowej piosence!...
Powiadasz, że on mały?? Zwalić go! No, śmiało!
Wal — buch! Jak ty potężny!... A co? — Sił nie stało?
No, wal — trzeszczy... Cha, cha, cha! Ręka zucha
mdleje,
Oczęta mgłą zachodzą... A tu łuna dnieje,
Dym kłębami się wznosi nad marzeń rubieżą...

Okrzyk zdumienia obiega szczyty. Krętacz zrzuca z siebie resztę stroju ziemskiego.

Precz z tą ziemską skorupą, precz mi z tą odzieżą,
Wysłużyłaś się wiernie na szatanim grzbiecie!
Niechaj cię szumne wichry uniosą po świecie
I tam jakiemu cisną w twarz marzycielowi,
Który nad wybawieniem ludzkości się głowi!

OPĘT.

Milcz, słyszę brzęk łańcuchów! Zły łbem tłukł o ściany.
Ryczał z wściekłości, potem pozrywał kajdany,
Trzykroć do zapomnienia rzucał się potoku — —

PLUGACZ drwiąco.

I po trzykroć wyrzucał go nurt do gór stoku!

OPĘT do Krętacza.

Chciał posyłać po ciebie, wieść na brzeg otchłani,
Wydrzeć ozór, w dym strącić — zaledwie szatani
Zdołali go powstrzymać w rozbestwionym szale!

KRĘTACZ.

Mnie? Mnie? Za co? Że niby w czystych wód krysztale
Prawdziwa twarz rozbłysła tego marzyciela,
Tej słabizny, co w własnym ogniu się spopiela??

OPĘT.

Ja tego nie rozumiem, on pies — ty z nim gadaj!
Lecz nim tu coś rozpoczniesz, pierwej grunt wybadaj.
Mnie strach! Co mi do tego? Powiadam, że szalał
Z wściekłości... O, te góry rzędem poobalał —
Pi, co to z myślą zacząć!

PLUGACZ.

Cha, cha, cha!

KRĘTACZ.

Przez gromy!
Zejdźmy w noc, zbudźmy krzykiem naszym skał załomy,
Tu drżą przed myślą!

GŁOSY.

Strach, strach!

KRĘTACZ woła w głąb otchłani.

Więc wy, duchy ciemne,
Wam niosę wieść, wy sądźcie owe sprawy ziemne!
Głębio mroku! W twe tonie rzucam zapytanie,
Co czynić z śmiałkiem, jeśli w poprzek drogi stanie
Ciemności??

WRZAWA W GŁĘBI.

Co? Rokita? Rokita? Rokita?
Rokita? Jest Rokita? Powrócił Rokita?

KRĘTACZ j. w.

Łamigłówkarz, co własne wywraca jelita
I obziera! Naprawiacz! Wywrotnik! Ułudziarz!
Niech no się między ludźmi częściej taki trudziarz
Pocznie smykać — ho, ho, ho!

WRZAWA W GŁĘBI.

Gdzie on? Gdzie? Wlec, tarzać,
Smagać, ćwiertować, bólu szyderstwem przysparzać!
Huzia-ha, huzia, huzia!

KRĘTACZ.

Słyszycie te wrzenia?
Głąb się ruszyła! Dalej, niechaj całe piekło
Zaburzy się, stoczymy dziś walkę zaciekłą!

Z otchłani wylatują tłumy szatanów.

SZATANY.

Wideł? Haków? Co, smoły? Oleju? Płomienia?
Co lepiej, czy pluć najprzód, czy odrazu palić?
Może pierwej batożyć??

Ale w głębi rozlega się ryk Złego. Szatany wpadają w popłoch.

RYK ZŁEGO.

Otchłań tam zawalić!
Zawalić otchłań! Wszystkie postrącać opoki!
Nie wypuszczać ich!

GŁOSY ŚRÓD SZATANÓW.

Zły! Zły!

OPĘT.

Uciekajmy w mroki!
Strach! Strach!

SZATANY.

Uuuuujjjjjj-jaaaaaaaa!

Pierzchają ku ścianom skały. Wbiega Zły.

ZŁY.

Precz gnilce! Padlino plugawa!
Trupojady! Pazurem porozdzieram brzuchy
I wydrę trzewia! Precz mi wyjce! Precz smoluchy!
On, on, mój płód!

SZATANY.

Jaaaauuuu-uujjjjj!

OPĘT.

Zły za niego stawa!

PLUGACZ.

On go kochał!

KRĘTACZ.

Co, kochał??

SZATANY.

Ujjj-haaaaa!

KRĘTACZ.

Kochał? Zdrada!

SZATANY.

Sacrilegium!

KRĘTACZ do Złego.

To mrzonkarz, wygładzić mrzonkarzy!
Taki jeszcze świat kiedy z posady wyważy!
Rozumiesz? Świat wyważy! Patrz na nas, tu stoim
W niezliczonych szeregach, całą wściekłość zbroim,
By go zmiażdżyła! Śmiałek! Serca ludzkie kwiecił!
Zuchwalec! Wiesz, co czynił? Śród ludzi myśl niecił!

SZATANY.

Oooooo-aaaaaaaaah!

PLUGACZ.

Myśl dusić, dusić, dusić myśl na ziemi!

SZATANY.

Dusić, dusić! Myśl dusić!

ZŁY.

Myśl — i strach oblata
I cała otchłań wyje z jękiem: rata, rata!
Mrok się burzy i wzbiera i wypluwa wrzawę,
Świecą spienione twarze i oddechy krwawe,
Kłąb rąk wstaje i będą wlec go jak zbrodniarza,
By znowu wstał i błysnął gdzieś tam z nad ołtarza
Jako gwiazda pokoleń!

SZATANY między sobą, w popłochu.

Co? Co? Co?

OPĘT do Plugacza.

A widzisz!

SZATANY.

Gwiazda pokoleń — aaaaaaaah!... aaaaah!...

ZŁY.

Kochał!... Ślepce marne,
Plemię nocy, wy boje wiodący niezdarne!
Kochał! Wstrząsa się.
Jest tu żar jakiś, co kąsa i pali,
Szaleństwo!... Myśmy zawsze szaleństwem zywali
Ono srogie cierpienie... Ale jest i kąsa,
Kąsa jak zwierz... Bies próżno zżyma się i dąsa...
To zaraza, co padła — stamtąd!

KRĘTACZ.

Hej, słyszycie?
Słyszycie? Rozumiecie, szatany, to wycie?
Zły się zczłowieczył, zludział! Na ziemię go strącić!
Zły zludział! Co on będzie tu bruździć i mącić!
Zły zludział!

PLUGACZ.

Zły już zludział!

SZATANY z przerażeniem.

Zludział, zludział, zludział!
Aaaaah!... Aaaah!... Zludział!... Aaaaah!...

ZŁY.

Zludział... cha, cha... Co wy wiecie!
Jakiś kąkol z wichrami ulata w wszechświecie
I pada w duszę... Zludział!... Od tych wszystkich rzeczy
Kto tutaj nie zludzieje, kto się nie zczłowieczy!
Wszakże to sami sobie skuliśmy kajdany
Siadłszy w państwie ciemności koło onej ściany,
Drwiąc z bólów, plwając na nie... A jednak są męki,
Śród których owe pęta jednym ruchem ręki
Zrywamy...

Precz, pierzchajcie pod one gór stoki!
Jakoweś głosy w górze odbiły opoki...
Idą już! —

Wszakże tutaj zimny rozum włada,
On, mój płód, przeto mnie on, mnie tylko podpada!
A że jest jakaś ciągłość między tem co będzie
I co było — wy wszyscy świadkowie i sędzie!

OPĘT.

Jego płód!

GŁOSY.

Tak, płód jego!

OPĘT.

Zły się z nim rozprawi!

SZATANY.

Zły, Zły!

PLUGACZ.

Ale czuwajmy!

SZATANY.

Czuwajmy, czuwajmy!

KRĘTACZ.

Czuwajmy i nie dajmy! Niech się w sobie skrwawi!

OPĘT.

Idą już, idą, sza, sza! Umilknąć, szatany!

SZATANY.

Sza, sza. sza, sza! Pod ściany, pod ściany, pod ściany!

Nastaje cisza. — Na przyłęczy ukazuje się Nija i Rokita. który sunie złamany. z głową na piersi zwieszoną, podpiera się o ścianę skalną, twarz znękana. oczy upiora. Na obliczu Niji gniew, ból i żal. Niekiedy popycha syna przed sobą. Za Niją w górze majaczeje jasność; ukazują się tam bieluchne Duchy Dwóch Sierotek: błądzą, szukają, chylą się z cichym jękiem nad otchłanią, łamiąc ręce i jęcząc żałośliwie:

SIEROTA 1.

Ah!... Ah!... Dalej nie możem!

SIEROTA 2.

A on — gdzie??

SIEROTA 1.

Tam — uchodzi bezdrożem!

Znikają śród cichych jęków i załamywania rąk. — Nija i Rokita schodzą ze skał.

NIJA.

Siedmiu nożami serce przebiłeś macierzy
Szalony synu! Precz mi z tych ziemskich rubieży!
Nie patrz za siebie, w głaz się zamienisz bezduszny,
Czemuś mi to uczynił, synu nieposłuszny?
W boleściach was rodzimy i w trosce chowamy
I nigdy spokojności przez was nie zaznamy,
W ciągłych łzach nam zbiegają za latami lata,
Gdy patrzymy na waszą wędrówkę śród świata...
Jak sokół z gniazda wybiegł w poranek świetlany,
By powrócić pół żywy i pół obłąkany!

ROKITA.

Czy tu już koniec świata?... Nie można iść dalej?...
Może myśl jeszcze ujdzie, ta myśl, co się żali
I wspomina... Idź, myśli! Bo ja... już nie mogę...
Zamknę oczy... upadnę...

Widziałem pożogę
Ogromną... Gdyby cały świat strzelił płomieniem,
Nie dorównałby... Patrzę, ach, patrzę ze drżeniem,
Co to tak płonie — świat? Nie... To sny moje płoną,
Moje marzenia!

Pada.

NIJA.

I płacz tylko wstrząsa łono
I ból szarpie i cieką łzy, łzy...

ROKITA *wznosząc twarz.*

Cała rzeka
Tych łez... A blask księżyca srebrem ją powleka...
Na brzeg Krzysieńka bieży... tak... w jednej sukience,
Włos rozwiany, przystaje, załamuje ręce —
Skoczyła!

Nie, nie, nie, nie, nie to być nie może!
Co ja niegdyś wysnułem?... Zaraz... ja to złożę...
Gdybym — tam — był, to one nie szłyby do głębi
Po ratunek...

Otrząsa się.

Mróz jakiś niepojęty ziębi...

Głosem dziecka.

Matko, gdzie Krzysia?

NIJA.

Niechaj zginie w twej pamięci,
Niechaj tam umrze wszystko, co ułudnie nęci!
Matka przy tobie, synu! Ta tobie została,
Która, nim się zrodziłeś, już ciebie kochała!

ROKITA.

Patrz, patrz, patrz, dzieci biegną, Franio kwiaty niesie...
Franiu, jaką to powieść wiatr ci bajał w lesie?
Pójdź tu, blade maleństwo, nie martw się, jedyny,
Wkrótce już ani jednej bledziuchnej dzieciny
Nie będzie śród was... Słuchaj, nie uwierzą może,
Lecz własne żyły dla was, dzieciny, otworzę,
I krew swą w was przeleję... Powiedz to matuli;
Z jaką rozkoszą buzię rumianą przytuli,
Ile potem powiastek ułożysz, kochanku!
A teraz spiesz — tam w sieni stoi woda w dzbanku...

Zimno.

Co? Wszystkie kwiaty zwiędły??

Surowo.

Nieprawda!

NIJA.

Oj, zwiędły,
Zwiędły, Rokita!

ROKITA z niesmakiem.

Patrz w dół, tam, jak niscy, mali!
Idźmy na szczyty, księżyc czerwony się pali,
Patrzy, coś chce powiedzieć...

Z przerażeniem, ukazując dół.

O, w dole uprzędły
Czarne pająki jakieś płomieniste sieci!
Patrz, patrz, chmura pająków w dole z wrzawą leci
A każdy ma twarz ludzką i jak głownię oczy...
Czy widzisz? Koło okna ta chmura się tłoczy...
Co to?? Walą się ściany?? Te wyśnione ściany??
Mój czyn! Ma duma!... Precz tam, tłumie zbuntowany!

Dźwigając się na kolana, groźnie.

Kto śmie dłoń świętokradzką wznosić na te mury?
Lśnią iskry, płomień strzelił, wstają dymu chmury —
Ludzie! Burzcie świątynie, ale nie tykajcie
Tych ścian! To źródło światła!

Podli wy — słuchajcie!
Podli!... Wszak to najpierwsi przyznali mężowie — —

Zadygotał.

Ah!... Co to? Co to? Jakiś gmach runął w mej głowie
I przywalił mi duszę... Pada

NIJA.

Wijesz się motylu
O skrzydłach opalonych...

Przyjdźcie wszystkie mroki,
Wszystkie ciemności schodźcie bezgłosymi kroki,
Złóżcie dłonie na oczach, ześlijcie sen trwały,
By uczucia zakrzepły, myśli pokostniały...
Usnął...

I niechaj śpi tak wieki!...

Sen i cichość
To lek najlepszy na tę małość i tę lichość...
Słońce, błękit, kwiatami usłane rozłogi
Gasną w pamięci — — tutaj kres wszelakiej drogi...
Słabą rękę nie swego imałeś się czynu,
Ostatni raz to mówię, synu... już nie synu!
Granice się dźwignęły znów... już matek niema,
Jest tylko to, co tworzy, czas jakiś utrzyma
I potem niszczy...
Niech świat z ostoi się wali,
Lub nie wali... ty śpij tu na odległej fali,
Obojętny jak wieczność, która tu nad tobą
Wypiętrzyła te kiry, wezbrała żałobą...
Niech żadne tchnienie tutaj z ziemi nie doleci,
Słodki gwar ludzkich głosów, szum drzew, zapach
kwieci,
Jeno ta noc niech wieje chłodem i pomrokiem...
Śpij... Ja wracam... Już droga ściele się obłokiem...
Wiatr przyzywa... poniesie na słoneczne spieki...
A ty — sza — śpij na wieki — na wieki — na wieki!

Odchodzi, staje i ogląda się. Sunie dalej wolno i staje. Zaczyna cicho nucić, wstępując na góry.

Powiędły kwiaty, zapada mgła,
W konarach jesień piosenkę gra,
Z wiatrem ostatni opada liść,
Ach, czy już iść?... Ach, jakże iść?!

Gdzie tych pochodów graniczny słup?
Gdzie ciche łono odemknie grób?
Wieczność podaje w rękę zmarzłą kiść
I — trzeba iść, bez kresu iść!

Znika w górze. — Chwila ciszy. — Zły chyli się troskliwie nad Rokitą.

ZŁY.

Chłopusiu, śpisz? Chłopusiu, popatrz raz jedyny...
Wróciłeś? Będziem znowu nad one głębiny
Siadać i radzić... Chłopuś, co? Już po twej sile?
Naco to było, chłopuś, szamotać się tyle!
A mnie aż tu nabrzękły ślepia, aż się wpiły
Żelaza w cielsko, zanim prysły...
Blask, obszary
Ochapiają się... Ech, ech!... Są tylko rozmiary
I siły — a przed niemi przeszkody — a siły
Łamią je... Chłopuś, widzisz, nie dawałeś wiary?
Widzisz... Ech!... Co skroń wznosisz? Leż, synaczku miły!

ROKITA.

Gdzie jest świat? Gdzie jest ona dziwna nieudolność?

ZŁY.

Sza, chłopusiu, tu tobie wskazana powolność,
Niedbałość... Tamto już — hiu!... Nieudolność ona,
Co tobie o niej myśleć?!... Nasypię do łona
Ziarnek maku... Co? Jeszcze piersi twoje szpeci
Kwiatek ziemski? Pfe, odrzuć, chłopusiu...

ROKITA.

Gdzie świeci
On punkcik?

ZŁY.

Nie patrz, synku!

ROKITA zrywając się.

Jak huragan rośnie,
Huragan światła, gwaru... Znów ma się ku wiośnie,
A tam — ludzie!

ZŁY klęcząc chwyta go oburącz w pół.

Wzlataczu szalony!

ROKITA.

Puść!

ZŁY.

Nigdy!
Przenigdy! Choćbyś wieki rwał się z mych uścisków!

ROKITA wizyjnie.

Tam — do morza zapachów, huraganu błysków,
Do tłumów ludzkich! Ludzie, ciemności okowy
Objęły mnie, lecz prysną! Burza wre śród głowy —
Słuchajcie takiej burzy w swem jestestwie małem!
Jam tylko upadł! Ludzie, lecz jak ja się rwałem!
Jam wciąż łamał myśl własną, lub w niwecz obracał,
Ale —

ZŁY.

Milcz!

ROKITA.

Wrócę!

ZŁY.

Nigdy!

ROKITA.

Ja wciąż będę wracał! —

KONIEC.